



NA GAZIE I HAMUL- CACH

Tadeusz Jasiński str. 8-9

Wojciech Kurhan:

Przez parę lat po wyzwoleniu panował u nas pogląd, że istniejąca przestępczość jest reliktem starego ustroju, a także wykwitem pionierskiego powojennego okresu, co-raz bardziej zanikającym w warunkach kształtowania się nowego społeczeństwa w Polsce.

c.d. na str. 6

WAMENIA

ROK ZAŁOŻENIA 1933

LUBLIN 5 X 1975 NR 20 (584)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Henryk Makarski

PIOSENKA Z KOSZMARNYCH SNÓW RODZINNYCH

*miałeś tylko dwadzieścia dwa lata
głowę w chmurach i ręce w kieszeniach
swej dziewczynie szeptałeś o gwiazdach
rozmieniając na kwiaty marzenia*

*nadleciały te inne dni
jak pluące ołowiem jastrzębie
gwiazdy — były plamami krwi
a księżyc — zardzewiałym hełmem*

*hełmem rdzawym a może czaszką
bielejącą szyderczo nad światem
zasłoń chłopcze oczy menażką
może we śnie zobaczysz matkę*

*widzę we śnie — wiatr mnie rozwał po
drogach*

*mojej matce niewiele zostało
oderwana wybuchem noga
jak złamana bezmyślnie gałąź*

Henryk Kozak

POLEGŁY MÓWI- JEST DOM

*Jest dom chociaż powinienem powiedzieć był
więc był nieduży drewniany
obok rósł wiąz i grusza
a pod oknami jaśmin i malwy*

*W jaśminie czyżyk co roku hodował młode
ojciec mówił pilnuj by ci ich koty nie zżarły
jeszcze wtedy miał zdrowe nogi
co niedzielę chodziłem patrzeć jak w remizie
tańczy*

*Chciałbym tam wrócić swój ślad choćby na
miedzy zobaczyć
ująć w dłonie plug z wronami pogwarzyć
nad wypieczonym bochnem szczęścia czynić
znaki*

by nigdy nie opuścił domu

*Chciałbym tam wrócić w lesie liści posłuchać
we wrzosach upić się kroplami rosy
zobaczyć jak zmierzch wlewa się do wsi
białą rzeką wieczornego udoju*

*Chciałbym tam wrócić ale mróz usztynił
kości
ucalować matkę ale ziemia zjadła usta
dłoń uściskać bratu ale nie ma brata
chciałbym wrócić i pomścić*

Dalsze wiersze na str. 6-7

STRUŚ jako ptak nieopłacalny

Ireneusz J. Kamiński

OBSERWOWANIE działaczy kulturalnych podczas narad i konferencji — najlepiej takich, które poświęcone są problematyce ogólniejszej — jest zajęciem ciekawym i pouczającym. O głos w dyskusji ubiegają się stale ci sami ludzie, na ogół starsi. Młodzież, jeśli nie jest funkcyjna, a więc automatycznie zobligowana do konferencyjnej aktywności, drzemie ukradkiem lub oddaje się ściszonej konwersacji towarzyskiej. Pozostali nie ukrywają swego znużenia i obojętności. Kiedy zapytano pewnego obywatela, który już dziesięć lat kierował powiatowym wydziałem kultury, dlaczego nie dzieli się z zebranymi swym niewątpliwie bogatym doświadczeniem, miast tego mozoląc się nad wypełnieniem delegacji służbowej, odpowiedział krótko i w tonacji zdumionej: — A po co?

Zdanie krótkie, lecz problem całkiem rozległy, szczególnie ostro rysuje się na obszarze kultury.

Powstaje on wówczas, kiedy słowo nie staje się ciałem, lub spełnia się w sposób polowiczny żeby nie powiedzieć — fikcyjny. Ludzie znający się na określonej rzeczy, którzy podczas sejmików, konferencji czy zjazdów o tzw. wysokiej randze sformułowali konkretne wnioski i postulaty reformujące życie kulturalne, ci ludzie ulegają rozgoryczeniu, jeśli wystukany na maszynie i ogłoszony ex katedra efekt ich przemyśleń i doświadczenia nie może doczekać się realizacji. Pół biedy, kiedy zdarzy się to raz, czy dwa. Zadna kwestia, jeśli na papierze pozostaną postulaty zbyt wygórowane nie liczące się z realnym potencjałem społecznym i ekonomicznym danego obszaru, o których z góry wiadomo, że są tylko rejestracją pobożnych życzeń, albo drogowskazem o takiej treści: „nie traćmy z pola uwagi także i tej kwestii”.

Dokończenie na str. 3

W STRONĘ AZJI — Ewa Polak — str.4



Uzbekistan: Buchara

Fot. A. Polakowski

W którym żyjemy

PRZEMYT

W REJONIE wysypki Deep Water Key w archipelagu Bahama zginął samolot turystyczny. Władze wysłały na poszukiwanie kilka helikopterów. Jeden z nich zausował na plaży co, co przypominając kształtem rozbitą samolot. Pilot osiadł w łódce na plaży i stwierdził, że była to wielka sterta liści marihuany, długo 21 m, szeroka 1 m i wysoka 2 m. Zaalarmował władze administracyjne i celników.

Był to rzeczywiście wielki magazyn liści marihuany. Przez 12 godzin przeladowywano go na statki. Liście były pięknie posegregowane w workach plastikowych. Wartość sterty przekraczała według cen oficjalnych 40 milionów dolarów, waga zaś wynosiła 10 ton. Cały ten transport był przeznaczony dla handlarzy w USA. Okazało się, że w tym rejonie pojawiał się często samolot typu B-29, znana superforteca z okresu drugiej wojny światowej. Kupili ją przemysłowcy na jakiejś wyprzedaży i przewoźni markotyki, zarabiając na każdym transporcie dziesiątki tysięcy dolarów.

ZAKŁADNIK

W PARYŻU większość taksówek posiada już szyby kuloodporne, oddzielające kierowcę od pasażerów. Na prowincji takich zabezpieczeń jeszcze nie ma. A szkoda, o czym przekonał się taksówkarz z miasta Lavał. Na postoju wsiadło młode małżeństwo i kazalo się zawieźć do pobliskiej wsi. W drodze jednak oboje wyciągnęli pistolety i kazali mu jechać w innym kierunku. Przeszraszony kierowca zdecydował się na uderzenie w drzewo — w ostatniej chwili hamując. Było to już na drodze o dużym ruchu i taksówkarzowi przy pomocy osób przejeżdżających udało się ująć pasażerów.

Okazało się, że małżeństwo, jako alkoholicy i przestępcy, zostali przez sąd pozbawieni praw rodzicielskich nad dwoma synkami, których umieszczono w domu dziecka. Taksówkarz miał być zakładnikiem, przy pomocy którego chcieli szantażować władze, aby im oddali dzieci.

DRUGIE DZIECKO BB?

SAIN'T TROPEZ, miejscowość wypoczynkowa nad francuskim wybrzeżem Morza Śródziemnego, wiele straciła ze swej atrakcyjności, gdyż powstało wiele nowych, bardziej luksusowych kurortów. Ale po dawnemu przebywa tam Brigitte Bardot. Ostatnio zgodziła się przeprosić 30 metrów wzdłuż głównej ulicy, prezentując jakis nowy krój spodni pewnej firmy. Zapytana, dlaczego po raz pierwszy w życiu zgodziła się wystąpić w filmie reklamowym, odpowiedziała: „Potrzebuję pieniędzy, gdyż chce mieć dziecko z Jeanem Blaise, bo to jest pierwszy prawdziwy mężczyzna, którego spotkałam w moim życiu”.

BB żyje sama w swojej willi La Madrague, natomiast kilkadziesiąt metrów dalej, w domu jej rodziców — mieszka aktor Jacques Charrier, ojciec ich wspólnego syna, dziś już 15-letniego Mikołaja. Gdy tego ostatniego zapytano, co myśli o ewentualnym przurodnym bracie lub przyrodniej siostrze, Mikołaj odpowiedział jak doświadczony polityk: bez komentarza.

W Saint Tropez spędzał urlop także Charles de Gaulle nr 2 — wnuk generała. Ma lat 27 i praktykuje u jednego ze sławnych adwokatów w Paryżu. Z nieznanym nikomu powodów troskliwe unikał słońca i wyjechał równie biały jak przyjechał.

CASANÓVA PO WŁOSKU

SLYNNY reżyser włoski Federico Fellini przygotowuje w Cinecittà, miasteczku filmowym pod Rzymem, do nakręcenia filmu o głośnym awanturniku i wiodzieliu — Casanovie. W udzielonym ostatnio wywiadzie Fellini wyznał, że podpisał kontrakt z producentem, ale do tego czasu nie czytał ani pamiętników Casanovy, ani żadnej jego biografii. Robi to właśnie teraz i charakter oraz postępowanie tego człowieka wydają mu się

zupełnie inne, niż to się zwykło o nim mówić i pisać. Mianowicie to, że zawsze wszystko mu się udało, że miał szalone powodzenie u kobiet, że lubił podróże, że filozofował podczas spotkań z J. J. Rousseau czy Wolterem.

— Chcę rozbić tę legendę — powiedział Fellini — i pokazać człowieka o słynnym, zdrowym charakterze, który żyje ze swoją ideą i konsekwentnie ją realizuje — niezależnie od tego, że kobiety same wpadają mu w ramiona, często wbrew jego woli. Grający go aktor będzie miał 192 cm wzrostu, a cały film zostanie nakręcony w języku angielskim, chociaż ja sam bardzo słabo znam ten język. Przez ekran przeświadcisz się też najjuższa obecnie kobieta świata, mająca 240 cm wzrostu.

JEST CZY NIE?

CHODZI o fresk o powierzchni 34 metrów kwadratowych „Błota pod Anghieri”, namalowany przez samego Leonarda da Vinci około 1503 roku. Artysta namalował go na murze pałacu Vecchio we Florencji, przedstawiając wojenne zwycięstwo Florentczyków. Temat jest wyjątkowy dla tego okresu, malowano wtedy bowiem freski tylko o tematyce religijnej.

Według przekazu współczesnych wartość artystyczna tego fresku dorównuje „Ostatniej wieczerze”. Nie wiadomo jednak z jakiego powodu 50 lat po jego powstaniu fresk zniknął — po prostu w czasie przebudowy pałacu zakryto go murem grubości jednego metra.

Obecnie postanowiono odkryć fresk, rozbiierając zasłaniającą go ścianę, co jednak ze względu na konstrukcyjnych jest przedsięwzięciem trudnym. Powstaje również pytanie, czy i ewentualnie w jakim stanie zachował się ów fresk. Aby dokładnie zlokalizować jego położenie, jak również stwierdzić, czy w ogóle cała praca oplaci się, postanowiono postawić się ultrasonowoczną techniką ultradźwiękową. Aparatura jest tak dokładna, że ma wykazać nawet warstwy farby, jeżeli zachowały się one na murze.

SMACZNEGO

W STANACH Zjednoczonych nie istnieje państwowa kontrola nad wyrobami przemysłu spożywczego i właściciele każdego może produkować co mu się podoba, byle znalazł kupujących. Są jednak stowarzyszenia konsumentów, przeprowadzające takie badania, ale nie mają one żadnej egzekutywy wobec producentów.

Ostatnio jedna z Consumers Union zbadała 39 artykułów spożywczych dla dzieci, produkowanych przez trzy najbardziej popularne przedsiębiorstwa. Okazało się, że czwartą część tych artykułów zawierała różne insekty, w całości lub części, naturalnie już suche, szczeciące zwierząt, resztki piór, włosy ludzkie. Stowarzyszenie zwróciło się do władz o interwencję, nawet w wypadku, gdy wygotowane i wysuszone zanieczyszczenia nie są groźne dla zdrowia.

KSIĄŻKA MARSZAŁKA

GROTESKOWY przywódca Ugandy, marszałek Amin, po swoim małżeństwie z 19-letnią Sarah (sam ma lat 60) zdążył już odsłonić pomnik na swoją cześć, zbudowany w stolicy. Jest to obryzmie popiersie z brązu, przedstawiające go w bardzo wojowniczym wyglądzie.

Ostatnio zaś w wywiadzie dla angielskiego tygodnika „Newsweek” Amin wyznał, że pisze książki, która „ujawniając nieznaną dotychczas faktę, zmieni poglądy na historię w ogóle, na historię Afryki zaś szczególnie. Afrykańczycy będą szczęśliwi czytając ją. Ujawnię w niej również błędy, popełnione dotychczas przez mnie”.

Zapytany, dlaczego często zmienia zdanie na różne tematy, odpowiedział: „Ludzie często biorą to, co mówię, za to, co myślę. To prawda, że nie mam wykształcenia. Ale często wiem więcej niż ludzie z dyplomami doktorskimi, ponieważ jestem wojskowym i wiem jak należy działać”.

WYPADKI

W AMIENS we Francji odbył się kolejny kongres 60 działających w tym kraju stowarzyszeń, skupiających inwalidów pracy. 500 delegatów stwierdziło zgodnie, że przyczyną niezwykle dużej ilości wypadków przy pracy w tym kraju jest zbyt mała dbałość o zabezpieczenie maszyn. Jak pisał przewodniczący kongresu Jacques Chenu, w roku 1973 na 13,5 miliona zatrudnionych zanotowano 1,3 mln wypadków, w tym 4135 śmiertelnych, a 150 tys. osób zostało na zawsze inwalidami. Straty dla gospodarki spowodowane wypadkami ocenia się na 36 milionów dni pracy, co stanowi liczbę dziesięć razy większą od liczby dni, nie przepracowanych wskutek strajków.

NOWA OFIARA

DEMON literatury pokonał jeszcze jedną ofiarę, jak dotychczas zresztą tylko potowicznie. Mianowicie Jacqueline Kennedy-Onassis została zaangażowana jako doradca redaktora naczelnego amerykańskiego wydawnictwa książkowego Viking Press. Jak wyjaśnił właściciel wydawnictwa, Thomas Gunnberg, podobną wdową będzie zajmowała się wyławianiem nowych talentów, czytając teksty, nadsyłane przez nieznaną dotąd autorów. Jeżeli będzie miała jeszcze czas, zajmie się również literaturą dla dzieci oraz wydawnictwami klaszackimi. Zdaniem wydawcy pełne zaangażowanie się pani Kennedy-Onassis w pracę literacką nastąpi z chwałą, ale zająmie się ona pisanem własnego pamiętnika, ale na ten temat nie można jeszcze nic konkretnego powiedzieć.

ANKIETY

FRANCUZI bardzo lubią przeprowadzać różne ankiety. Oto wyniki dwóch ostatnio przeprowadzonych.

Pierwszą, jak zapewniali organizatorzy, ogłoszono z okazji Międzynarodowego Roku Kobiet. Okazało się, że tylko 28,7 proc. kobiet uznało, że wykonują pracę, jaką lubią (mężczyźni — 34,7 proc.). Wśród ankietowanych przynajmniej raz w roku korzystają z następujących rozrywek kulturalnych (w nawiasach procenty odnoszące się do mężczyzn): kino — 45,1 proc. (55,6 proc.), muzea — 25,6 (29,4), wystawy — 16,3 (21,1), koncerty — 5,1 (8,4), zebrań i posiedzenia o charakterze kulturalnym — 4,1 (6,9).

W drugiej ankiecie 80 proc. respondentów odpowiedziało, że Francuzi bardzo lubią się śmiać, ale czy mają się z czego śmiać, pozytywnie odpowiedziało 71 proc. Natomiast do umiejętności wzbudzania śmiechu u innych przyznało się tylko 53 proc., natomiast 62 proc. twierdziło, że w życiu jest coraz mniej powodów do śmiechu, a jedynie 16 proc. że coraz więcej. Mała większość, bo 55 proc. twierdziła, że śmiech liczy się do zalet mężczyzny, ale już tylko 50 proc., że u kobiet także.

Spółród aktorów, którzy wywołują śmiech 41 proc. przytaczał Fernandela, 21 proc. Fernanda Reynauda, tylko 6 proc. Chaplina.

NIEMAL SIOSTRY

W ANGIELSKIM ogrodzie zoologicznym w Southam Park zatrudniony tam pracownik Leslie Clevens miał córkę Tracy. Od pierwszych tygodni po urodzeniu wychowywała się ona ze swoją rówieśniczką, szympanisą

Tenny. Miały wspólną butelkę, wspólne zabawki, razem — pod rękę — chodziły na spacer. Szympanisica, już dorosła, nie bez trudu zaakceptowała fakt, że przed rokiem Tracy poszła do szkoły. Codziennie odprowadzała ją, a potem się po nią do pobliskiej szkoły. Ostatnio Clevens zachorował się i przewieziono go do szpitala. Córka poszła go odwiedzić. Wtedy szympanisica wpadła w szal. Pobiegła do szkoły, a gdy nie znalazła dziewczynki, rzuciła się na inne dzieci i zaczęła je gryźć. Wezwano policję, która nie mogąc sobie poradzić z małpą, wreszcie zastrzeliła ją. Wszyscy mieszkańcy są oburzeni i twierdzą, że policja powinna była spowodować Tracy ze szpitala, natomiast fakt zabicia małpy nazywają po prostu zwierzęciem.

NUDYŚCI

KOŁO miejscowości Oplastro na Korsyce jest piękna plaża, którą ostatnio upodobał sobie nudyści. Miejscowy mer, Pierre Morgani, wypowiedział im jednak wojnę. Zorganizował kilka ekip, które patrolują plażę, niosąc w wiadrach specjalnie spreparowaną farbę. Każdy nudysta czy nudystka jest polewany tą farbą, która mimo stosowania różnych zabiegów schodzi dopiero po kilku dniach. Zwolennicy opalania się nago twierdzą, że sam mer nie jest w porządku, gdyż w swoim biurze urządza ubrany tylko w krótkie spodnie.

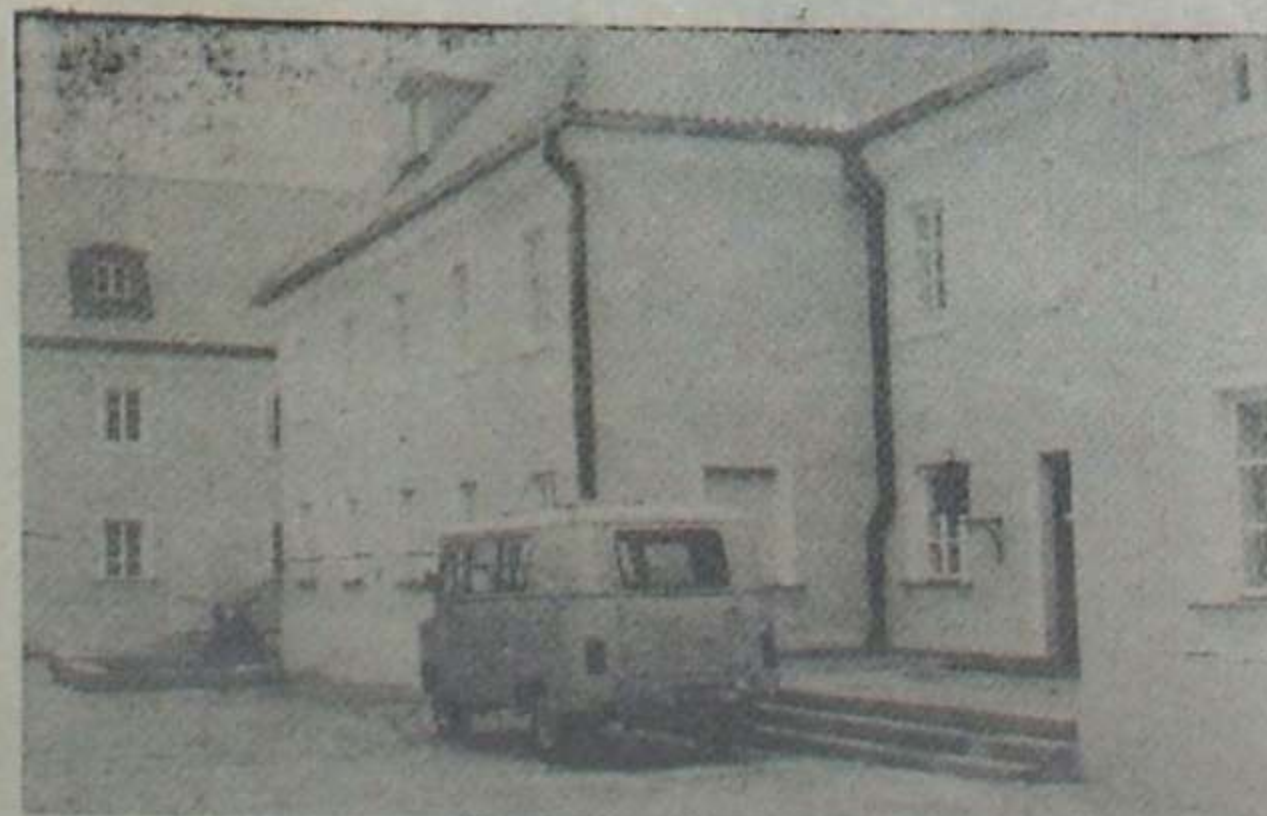
KŁOPOT Z MĘŻAMI

W STANACH Zjednoczonych niemal równocześnie ukazały się dwie książki, które mają niemal takie powodzenie, jak książki kucharskie, co ma swoją wymowę. „Kobietę totalną” napisała Marabel Morgan, a „Jak stać się kobietą fascynującą” Helen Andelin. Są to właściwie podręczniki dla kobiet, które radzą, w jaki sposób kobieta może zatrzymać przy sobie kochanego (choć nie zawsze kochanego, ale zawsze potrzebnego) mężczyznę.

Obie panie stwierdzają zgodnie, że celem kobiet jest małżeństwo, natomiast o mężczyznach twierdzą, że albo unikają małżeństwa, albo pragną się z jego okolicami wydestakować. Ale dalsze rozważania autorek różnią się zasadniczo.

Jedna twierdzi, że aby podobać się mężczyźnie na stałe, kobieta powinna podziwiać go bez zastrzeżeń, akceptować ze wszystkimi jego wadami i zaletami, w żadnym razie nie zwalczać jego nawet najbardziej fałszywych poglądów. Mężom winny się przedstawiać jako małe, bezradne istoty, porwalające się traktować jak zabawki, grając często rolę odalisk.

Druga pani ma zupełnie inne poglądy. Według niej mężczyźni nie znoszą wiecznego uśmiechu i dziecięcego szczeniactwa żony. Chcą mieć tygrysięcę, kapryśną i zmienną, budzącą męża w środku nocy z powodu jakiegoś głupstwa, robiącą sceny zazdrości. Jeżeli takie nie będziecie — ostrzeżę — mąż was zdradzi po pół roku, a potem porzuci.



W tym oto zażytkowym „Arsenale”, stojącym w pobliżu pałacu Branickich, mieści się od pewnego czasu m. in. białostockie Biuro Wystaw Artystycznych, instytucja działająca wyjątkowo dynamicznie i mądrze, ciesząca się bardzo dobrą opinią czolowych artystów polskich. Po całkowitym zagospodarowaniu „Arsenal” — także miejsce wystawowe — przejmując podstawowe funkcje oświatowe BWA, z czym wiąże się uruchomienie biblioteki z czytelnią oraz archiwum wydawnictw plastycznych i sali odczytowej wyposażonej w aparaturę do wyświetlania filmów i prezentacji. Z tych placówek będą mogli korzystać wszyscy: zarówno artyści jak i uczniowie szkół białostockich, ludzie profesjonalnie zainteresowani sztuką oraz szeroka publiczność. Ponadto BWA jeszcze w tym roku zamierza zorganizować Ośrodek Informacji i Propagandy Sztuki Współczesnej — jeden z pierwszych w kraju — którego program przychodziłby uznać za tyle rozległy, co racjonalny i ambitny. Jego realizacja będzie równoznaczna z utworzeniem pełnego systemu społecznego obiegu sztuki artystycznej, angażującego wyspecjalizowane instytucje (np. ZPAP, BWA), szkolnictwo podstawowe, średnie i akademickie, związki zawodowe, stowarzyszenia i placówki kulturalne oraz zakłady przemysłowe całego województwa.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że białostockie BWA posiada w tej sferze bardzo dobre tradycje — mimo wręcz chałupniczych warunków techniczno-lokalowych, w jakich do niedawna działało. Świadczy o tym powołanie 5 stałych galerii wystawowych w Białymstoku (m. in. w KW PZPR i Klubie MPiK), regularne urządzenie ekspozycji i prelekcji w kilkunastu klubach i świetlicach zakładowych b. województwa białostockiego, prowadzenie zajęć z młodzieżą w ramach Turnieju Wiedzy o Sztuce. Świadczy o tym także wysoki poziom wielu wystaw, prezentujących różnorodnie orientacje artystyczne, świadczą jakościowo wydawnictw BWA.

Wszystko zatem wskazuje, że z rozmachem zakreślone plany doczekają się pełnej realizacji. Z pewnym zdaniem przychodził na koniec stwierdzić, że nie posiadający większych tradycji plastycznych Białystok jakby zdystansował Lublin pod względem potencjału lokalowego i organizacyjnego życia artystycznego. Obok „Arsenal” miasto posiada bowiem obszerne i oryginalne architektonicznie pawilony wystawowe przy ul. Dąbrowskiego i „dorobiło się” poważnych, cenionych w kraju imprez plenerowych: w Białowieży i Hajnówce. Ale to nie wszystko: BWA opracowuje właśnie założenia programu stałej Galerii Sztuki Współczesnej, w której znalazł się m. in. dział powstający w wspomnianych plenerach. O tej interesującej inicjatywie postaramy się poinformować wkrótce obszerniej. **K**

WLASNIE dzisiaj zostałem okradziony przynajmniej z trzech godzin, które powinienem był poświęcić na pracę. I niestety, nie ja jeden.

A działa się to wszystko w Terenowej Stacji Obsługi Polmózbytu przy ul. Wojciechowskiej w Lublinie. Oddawałem samochód osobowy do kilku napraw gwarancyjnych i powypadkowych. Stałem w kolejce o godzinie 7.45 rano, protokół o przekazaniu samochodu do naprawy podpisałem o godzinie 12.15 w południe. Wszyscy pracownicy stacji byli grzeczni, nie mogli narzekać, jeżeli nie liczyć faktu, że przyjmującego reklamację pracownika musiałem przekonywać, iż nie zna on obowiązujących przepisów i usiłuje mnie — jak to się mówi — splawić. Okazało się jeszcze, że właściwie przypadkowo „zarobiłem” jeden dzień, gdyż na miejscu znalazł się inspektor techniczny innej placówki Polmózbytu. Gdyby nie to, musiałbym pojechać jeszcze na ul. Mełgiewską i tego dnia nie byłbym już załatwiony przy ul. Wojciechowskiej. Tego wszystkiego zaś nie daje się wykonać w godzinach tzw. pozasłużbowych, gdyż w stacji przy ul. Wojciechowskiej, największej w województwie, reklamacje przyjmuje się tylko do godz. 14.

Przykład nie taki znowu drobny, jako że w analogicznej sytuacji, tylko w tej jednej stacji obsługi znajduje się codziennie kilkunastu ludzi. A szczególnie charakterystyczny dlatego, że niby wszystko w działaniu tej stacji jest w porządku, że wszystko da się tak czy inaczej uzasadnić. Z wyjątkiem tej sprawy za-

leczno-gospodarczego. Kiedy najpierw w różnych dyskusjach omawiano na początku roku 1971 projekty do zatwierdzonego już wcześniej planu na lata 1971—1975, a potem na VI Zjeździe PZPR decyzje zmierzające do wyjątkowo dynamicznego rozwoju całego kraju — postawiliśmy sobie bardzo ambitne

CENA CZASU

Jerzy Dostatni

sadniczej: że to „wszystko” trwało cztery i pół godziny, a powinno trwać — no, bądźmy rozrzutni — godzinę.

Wiele jest jeszcze w naszym codziennym życiu spraw, które należy wyprostować, uregulować, ulepszyć. Nie ulega wątpliwości, że szczególnie w ostatnim pięcioleciu zrobiliśmy bardzo wiele we wszystkich dziedzinach naszego życia. Historia naszego kraju, i nie tylko na zego, nie zna takiej dynamiki rozwoju spo-

ładnego. Kiedy najpierw w różnych dyskusjach omawiano na początku roku 1971 projekty do zatwierdzonego już wcześniej planu na lata 1971—1975, a potem na VI Zjeździe PZPR decyzje zmierzające do wyjątkowo dynamicznego rozwoju całego kraju — postawiliśmy sobie bardzo ambitne

ładnego. Kiedy najpierw w różnych dyskusjach omawiano na początku roku 1971 projekty do zatwierdzonego już wcześniej planu na lata 1971—1975, a potem na VI Zjeździe PZPR decyzje zmierzające do wyjątkowo dynamicznego rozwoju całego kraju — postawiliśmy sobie bardzo ambitne

• 39 proc.; będzie większy o 62 proc.; średnia płacy wzrosła dwukrotnie ponad przewidywany poziom, osiągając 40 proc. W województwie lubelskim (nowym) przemyśle wyprodukował i sprzedał w ciągu ośmiu miesięcy br. towary wartości ponad 31 miliardów złotych, w tym 848 milionów ponad plan, a wydajność pracy pomiędzy obu ostatnimi sierpniami zwiększyła się o 7 proc. Wyplaty z funduszy plac od stycznia do sierpnia br. włącznie były o 15,6 proc. wyższe niż w tym samym okresie roku ubiegłego, a rolnicy za produkty rolne odebrali 6 proc. więcej.

Lektura liczb nie jest zajęciem pasjonującym dla ludzi nie będących ekonomistami. Myślę jednak, że kilka warto zapamiętać wszystkim, bo ten króciutki bilans zamyka nam jedno pięciolecie, a otwiera następne. Ale to tylko podział dosyć formalny, bo ani nasze potrzeby, ani możliwości nie dają się na stałe umiejscowić na kolejnych kartach kalendarza. Jedne wynikają z drugich, a ich poziom charakteryzuje się stałą tendencją wzrostową. To, co dzisiaj wydaje nam się pułapem wysokim, jutro jest normalnym, a pojutrze zbyt niskim.

Dokończenie na str. 10—11

STRUŚ

jako ptak nieopłacalny

Dokończenie ze str. 1

Fatalne rezultaty przynosi dopiero powtarzalność takiej sytuacji i niemożność realizacji wniosków prostych, nie wymagających większego wysiłku ekonomicznego w momencie wprowadzania ich w praktykę. Rodzi to niewiarę w wartość werbalnych ustaleń i skłonność do działań rutyniarskich, kopiujących niegdysiejsze modele działalności kulturalnej, wyzwała różnego rodzaju partycularyzmy. Najbardziej przy tym paradoksalne, że takie postawy wcale nie zniechęcają ludzi do udziału w kolejnych naradach, do formułowania coraz piękniejszych wniosków. Odnosi się wrażenie, że niedostatek rzeczywistości rekompensuje się swawolną produkcją słowotwórczą. Na sejmiki i konferencje ciągnie się lawą przede wszystkim po to, aby opracować kolejny program, następny plan działania, niezbyt już troszcząc się o ich realizację. Mamy do czynienia z absolutnym spełnieniem hasła „sztuka dla sztuki”, ze spontaniczną kreacją sięgającą granic abstrakcji. Oczywiście, domagając się twierdzenia, że jest to zjawisko powszechne. Tak nie jest na pewno. Z drugiej strony zbyt często obserwujemy działanie owego mechanizmu, aby przymknąć nań oczy.

W 1969 roku odbył się w Lublinie wojewódzki sejmik kulturalny, w którym uczestniczyli przedstawiciele wszystkich środowisk twórczych i kulturalno-oświatowych regionu. Obradowano w trzech sekcjach: pracowników kultury, społecznego ruchu kulturalnego, środowisk twórczych. Dyskutowano ostro, precyzowano wnioski. Wskazywano m. in. na konieczność polepszenia warunków lokalowych bibliotek wojewódzkiej i zwiększenia środków na zakup nowości wydawniczych, jako że niektóre powiaty przeznaczały wówczas na ten cel w przeliczeniu na jednego mieszkańca — niewiarygodną kwotę 1 grosza! Wyrażono niepokój o dalszy rozwój klubów „Ruchu” i „Rolnika”, hamowany bez troską władz gromadzkich, a jednocześnie wypaczony preferowaniem w tych pierwszych placówkach działalności handlowej. Postulowano otwarcie drugiej, tzw. eksperymentalnej, sceny przy Teatrze im. Osterwy. W sejmikowej uchwale znalazła się również propozycja corocznych spotkań działaczy i twórców kultury artystycznej z władzami województwa. Nie zapomniano również o trudnej sytuacji izb pamiętek, które już wtedy zaczęły odczuwać dobrodziejstwa zbyt amodzielnej istnienia, czyli braku jakiegokolwiek pomocy ze strony władz lokalnych. Stwierdzono także na piśmie, że raz na zawsze należy wydzielić kulturę z wydziałów oświaty powiatowych rad narodowych, albo w aktualnej formie nie służy tej pierwszej.

Rok później Al. Leszek Gzella próbował na łamach „Kurierów Lubelskich” przedstawić, „co z postulatów zgłaszanych na sejmiku zostało już wykonane, a co nadal czeka na łaskawą uwagę władz kulturalnych i instytucji”. No i wyszło mu, że właściwie nic nie zostało wykonane. Powiedźmy, że jeden rok to jednak zbyt krótki dystans czasu, wykluczający sensowność takiego bilansowania. Czym jednak wytłumaczyć nieustającą aktualność problemów, przedstawianych we wspomnianej uchwale jako pilne sprawy do załatwienia? Okolicznościami ogólniejszej, historycznej natury, jakie powstały w kraju? No nie, to byłaby dopiero demagogia! Nawet przyznając, że niektóre wnioski obliczone były na spełnienie w dalszej perspektywie, nijak nie można wytłumaczyć zatarcia wniosku o coroczne spotkania środowisk kulturalnych z władzami, o zwiększenie uwa-

gi dla izb pamiętek i klubów wiejskich, o pomoc dla bibliotek...

Bądźmy jednak obiektywni: teatr uruchomił drugą scenę, która zyskała wkrótce uznanie bardziej wyrobionej publiczności (jak zresztą cała nasza instytucja dramatyczna), niedawno na UMCS otwarto studia o profilu kulturalno-oświatowym, postulowane przez sejmik, w 1972 roku zaczął ukazywać się „Biuletyn Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie”, mający charakter informacyjno-instrukcyjny, o który dobijali się działacze już w 1969 roku. Zgodnie z sejmikową uchwałą powołano także do życia Wojewódzką Komisję Rozwoju Kultury, której historia doskonale ilustruje roztrząsane tu zagadnienie: między słowem a ciałem.

Komisja zawiązała się w 1970 roku, aby rok później wystąpić z „Planem rozwoju kulturalnego Lubelszczyzny w latach 1971—1975”. W pierwszej części tego dokumentu ogłoszono, że wszelkie wysiłki będą koncentrować się wokół, jak to sformułowano, „przyjęcia generalnej zasady, że koordynacja całokształtu działalności k. o. leży u podstaw wszelkich poczynań i jest gwarancją dalszego rozwoju kulturalnego naszego województwa. Wiodącą rolę spełniać powinny rady narodowe w ścisłym powiązaniu z Wojewódzką Komisją Rozwoju Kultury, w skład której wchodzi przedstawiciele...”

Lista przedstawicieli była bardzo długa, obejmowała ni mniej ni więcej, tylko 28 instytucji, które w taki czy inny sposób partycypują w działalności kulturalnej. Na wszelki wypadek pomyślano także o przyłączeniu do sprawy Narodowego Banku Polskiego, zapominając przy okazji o redakcji dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Kamena”. Powiedzmy, drobne przeoczenie.

Na jednym ze swoich nielicznych posiedzeń plenarnych, na które zaproszono dziennikarzy i działaczy „z zewnątrz”, ów plan Komisja przedstawiła do dyskusji. Efekty okazały się przykre: dokument „zjechał” od góry do dołu, zarzucając mu brak generalnej koncepcji rozwoju kultury w województwie i nadmierne żonglowanie drobiazgami. Co prawda, to prawda, w dokumentacji roilo się od ogólników i postulatów opisujących... stan istniejącej („określić BWA jako ogólnego inspiratora i koordynatora poczynań w zakresie upowszechniania współczesnej plastyki, Muzeum Okręgowe w zakresie historycznego dorobku plastycznego i kultury materialnej”). Umieszczenie w planie sprawy „wypracowania regionalnej pamiętki lubelskiej”, co należy „przypieścić”, przychodzi natomiast uznać za przejaw optyki mikroskopowej... Projekt dokumentu odesłano do przepracowania.

Komisja zaś jakby obraziła się, bo od tego momentu słuch o niej zaginął. Powołano co prawda jakieś zespoły specjalistyczne — do spraw filmu, plastyki etc. — ale ponieważ matka oddaliła się w kierunku bliżej nieokreślonym, to i owe dzieci zaczęły dreptać bezradnie w miejscu. Wiem, co mówię, jako że sam jednemu z nich przewodniczyłem — z miernym skutkiem. Na zebranie inicjujące ów zespół nie raczył przybyć żaden z kilkunastu zaproszonych dyrektorów zakładów przemysłowych Lubelszczyzny, żaden nie przysłał swego wyroczyciela, jeden tylko odpowiedział, że nie ma czasu. Kiedy zaś biegło się do Komisji — matki (przecież), ludzie zorientowani i kierujący z urzędu działalnością kulturalną wymownie rozkładali ręce: „mama jest, ale jej nie ma”. Z publicznego przyznania się do niewyplacalności uchronił Wojewódzką Komisję Rozwoju Kultury nowy podział administracyjny kraju. Czy zlikwidował problem?

W ostatnim okresie plastycy lubelscy zawarli niezwykle dla nich korzystną umowę z zawsze życzliwą sztuce Lubelską Spółdzielnią Mieszkańców, otrzymując w rezultacie 40 pracowni, z których część połączona jest z mieszkaniami. W Kazimierzu odbywają się — co roku — ogólnopolskie plenery plastyczne, w których uczestniczą także artyści z zagranicy. W tym roku odbył się pierwszy w Nałęczowie plener rzeźbiarski. Od pewnego czasu także w Kraśniku spotykają się malarze krajo- wi, bardzo sobie chwając przyjęcie przez tamtejsze władze. Filharmonia Lubelska zajmuje się upowszechnianiem muzyki w sposób, który nie pozostawia nic do życzenia, nie zezwała na jakikolwiek krytykę. Pisarze lubelscy mogą brać udział w dorocznych konkursach literackich, finansowanych przez lokalne instytucje...

Kultura lubelska posiada sporo aktywów, dorobiła się istotnych wartości. Ciągłe przecież na jej terenie pojawia się skłonność do wznoszenia fikcyjnych porządków. Takie „działania” pochłaniają środki materialne, ludzką energię, powodują napięcia w środowiskach społecznych i zniechęcenie. Owszem, kultura jest wyjątkową sferą ludzkiej aktywności, która nie poddaje się szufladkowaniu, absolutnej racjonalizacji, wymyka się próbom precyzyjnego prognozowania. Sensowność każdej koncepcji, każdego postulatów weryfikuje ostatecznie samo życie, które jakże często brutalnie łamie misterne konstrukcje, w autorskich intencjach mające bez reszty służyć rozwojowi kultury. Najogólniejsze prawidłowości jej rozwoju są przecież uchwytnie. Więc honorujemy je — nie popełniając elementarnych błędów, które najmocniej zaznaczają się w ludzkiej świadomości, a rodzą się najczęściej w trakcie sterowania, jak to się ostatnio mówi, działalnością kulturalną. No tak, łatwo powiedzieć, trudniej zrobić... Czy można na przykład było marzyć o konsekwentnym i mądrym sterowaniu kulturą, jeśli ciągle zmieniały się modele wiadomej działalności, jeśli nieustannie zmieniała się kadra?

Na początku 1971 roku odbył się w Nałęczowie Wojewódzki Zjazd Towarzystw Regionalnych i Społeczno-Kulturalnych, który postanowił m. in. powołać federację, grupującą — na swobodnej zasadzie, nie krepującej indywidualnego manewru, profilu działalności etc. — wszystkie przejawy tego ruchu. Po pewnym czasie rzeczniczy federacji spotkali się w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w celu opracowania prawnych zasad owego związku. Dyskutowali, umówili się na kolejną naradę. Określonego dnia zjawili się już tylko dwie czy trzy osoby. Federacja upadła, choć głosował za nią cały zjazd nałęczowski. Z 13 towarzystw regionalnych byłego województwa lubelskiego faktycznie działają tylko cztery: w Hrubieszowie, Puławach, Chełmie i Międzyrzeczu... Najistotniejsze dla poruszanej tu sprawy jest przecież coś innego, a mianowicie: beztróskkie traktowanie decyzji kilkudziesięciu ludzi, kilkudziesięciu działaczy kulturalnych. Kto zawiął: delegowani do sfinalizowania sprawy prezesi niektórych towarzystw czy władze kulturalne, które skwapliwie zeszyły z drogi pojawiającym się trudnościom? Jedno nie ulega wątpliwości: niedługo potem kierowaniem lubelską kulturą zajęli się inni ludzie.

Nowy podział administracyjny kraju ma charakter ostateczny, co implikuje określoną i trwałą strukturę organizacyjną działalności kulturalnej. Jej model również zarysował się wystarczająco wyraźnie. Uposażenia pracowników tego resortu sprzyjają stabilizacji kadry. Wytyczne na VII Zjazd PZPR jednoznacznie akcentują konieczność podniesienia jakości naszej pracy. Tworzenie fikcyjnych porządków musi być całkowicie nieopłacalne.

Ireneusz J. Kamiński

Kamena str. 3

KRZYSZTOF Gasiorowski powiedział, że pory roku nakładają dalekie podróże. Ta poetycka prawda funkcjonuje też zapewne i w drugą stronę. Dalekie podróże są jak pory roku, jeżeli tylko chce się tego, jeżeli czeka się z niecierpliwością na te głębokie zmiany w krajobrazie, w ludziach i w samym sobie... Podróż może ułożyć się przecież tylko w obrazki, może być tylko projekcją widoczków i zdarzeń, dziejących się za szybą samolotu, pociągu czy autobusu, porcją przeżyć równie banalnych jak te, których dostarcza film, chociaż nawet śledzi się go z zainteresowaniem, ale nastawiając się tylko na odbiór, bez ucze-

nia żeby, tym bardziej polyskują, im elegancja jest pełny zestaw złotych zegarów, złoto — błyszczące, szerokie sukienki, złote kołczyki i bransoletki, haftowane złotą nicią tiubitiejki — małe, okrągłe lub prostokątne czapeczki, to typowy strój uzbeckiej kobiety. Mężczyźni, szczególnie młodzi, noszą się mniej okazale i gdyby nie charakterystyczne rysy, nie wyróżniali się pewnie wśród Europejczyków.

Przed muzeum sztuki Uzbekistanu spotkaliśmy grupę młodych Uzbekek, przybyłych z jakiejś odległej miejscowości, tak barwnych i urodziwych, że wszyscy rzuciliśmy się do robienia zdjęć. Ale kiedy jeden z naszych kole-

gie nas zieloną herbatą. Podaje ją uprzejmie, i bez słowa, w białoniebieskiej wyszczerbionej filiżance. Herbata jest chłodnawa i bez smaku, ale mokra, mokra! Wszyscy przysysają się z wdzięcznością do wyszczerbionej filiżanki. Starzec z godnością i dobrotliwym uśmiechem dolewa i dolewa, aż do wyszczerzenia ostatniej kropli z porcelanowego czajnika. Wtedy kiwa ze smutkiem głową i pokazuje jego puste dno. Odchodzimy, unosząc ze sobą wrażenie czegoś bardzo egzotycznego, a przecież bliskiego...

I odtąd pijemy zieloną herbatę, ten nijaki i niesmaczny właściwie napój, o barwie budzącej mało subtelne skojarzenia, gdzie się da — głównie w czaj-

w mokre przeleceradla, ruszyliśmy wczesnym rankiem w Bucharę.

Czy warto opisywać białe zaułki, kręte uliczki, po których wędrowaliśmy zatrzymując się, by zajrzeć przez wąskie bramy w głąb cienistych, zielonych podwórek? Czy warto opisywać smukłe minarety, wybudowane z cegiel robionych jeszcze z wypalanej na słońcu gliny i te późniejsze o parę wieków, bardziej kunsztowne i wynioślejsze, z mozaikami i majolikami, jak najwspanialszy z nich minaret Kallan? I osły ciągnące leniwie po kamiennych brukach swoje dwukolowe arby? Czyż można opisać to, co widzi się i czuje wchodząc na zalany słońcem, z samotnym drzewem pośrodku dziedzi-



W STRONĘ AZJI

Ewa Polak

stnictwa, i nie dając często wiary temu, co się w nim rozgrywa.

Dla mnie tym dalekim krajem był Uzbekistan — dolina Zarawszanu, piaski Kyzyl-Kumu, Taszkient, Bucharę i Samarkandę, miejsca tak niezwykłe, że aż podejrzana wydaje się ich powszechna dostępność i to, że tak dużo wchłaniają każdego roku turystów z całego świata.

Zetknięcia się z Azją nie potrafi odtworzyć żaden opis, choćby najbardziej drobiazgowy. Jest to przecież nie tylko spotkanie z ludźmi i krajobrazem, ale z nieuchwytną, wymykającą się wszelkim określeniom azjatyckością, czego najdalej nawet i najdłuższa podróż nie objawi do końca, co mieści się raczej w przeczuciach, nastrojach i snach.

Na lotnisku w Taszkientie dostaliśmy od pilotujących naszą grupę tamtejszych studentów różę. Niby nic takiego, ale było w tym sympatycznym geście coś z symbolu, coś, co świetnie charakteryzowało stosunek Uzbeków do nas — zawsze z nutą serdeczności i jakiegoś miłego sentymentu, co mogło dziwić i rzęczywiście dziwiło nas w tych odległych stronach.

Odmienność, jaka dała o sobie znać w pierwszym momencie po wylądowaniu, to przede wszystkim rozgrzana powietrze, które oblało nas niby gorącym strumieniem, i ulice — szerokie tak niebywale, że mimo złotych ich świateł, całej ich ruchliwości i gwaru, przez szybę autobusu niemal nie widzi się przeciwnej strony, ukrytej daleko za ścianą drzew. Niskie, rozłożyste domy przy ulicy Aliszera Nawai — i oto wchłania nas cichy chłód klimatyzowanego wnętrza hotelu „Domu Młodzieży”. Jego jasne barwy, przestronność, wnętrza, gładkie marmurowe posadzki, dywany i światła, wszystko to było znakomitą wizytówką nowoczesnego Taszkientu.

Rano, po wyjściu na tarasy, zalało nas słońce oślepiające zupełnie i obezwładniające w pierwszym momencie, lecz mimo 30 i kilku stopni powietrze było lekkie, nie był to ten duszny skwar, jaki przeżywalismy później w Bucharze, ale raczej szczególna wszechobecność słońca, które czuło się także i w cieniu, a także i pod sklepieniami meczetów i medres, także i... pod fontannami, do których wędrowaliśmy w poszukiwaniu chłodu. Fontanny w Taszkientie to proste i surowe w kształcie, długie szpalery pionowych kaskad, przezroczyste ściany wody, poprzedzielane zasłonami zieleni, wrysowane w tło wykwiśniętych linii nowoczesnych gmachów. Z radością zanurzaliśmy się w strumienie spadającej z wysokości wody, albo stawaliśmy twarzą do nich, dając się chłodzić rozpylonym kroplom przywianym przez wiatr. Nasze pomysły nikogo nie dziwiły, było to najzupełniej naturalnym objawem, widzieliśmy też parę razy, jak uzbeckie dziewczęta przebiegały pochylone pod fontannami, trzymając w ręku swoje pantofle. Dziewczyny w Taszkientie to w ogóle istoty obdarzone wdziękiem i klasyczną urodą Uzbekek — czarne, zrosnięte brwi, duże oczy i kilkanaście długich warkoczy. W brązowej twarzy polysku-

gów stanął wśród dziewcząt i bardzo z siebie zadowolony chciał objąć dwie najbliższe stojące, pozując do imponującej, zaiste, fotografii, rozbiegły się obrażone i najwyraźniej też trochę przestraszone, czego właściwie od nich chcemy? A młody Uzbek, kierownik ich grupy, nawoływał je bezskutecznie do siebie.

Taszkient — to potężna, półtoramilionowa stolica z 20 wyższymi uczelniami, ten kolos przemysłowy, to miasto wzniesione po trzęsieniu ziemi w 1966 roku niemal od podstaw (w błyskawicznym tempie, przy udziale tysięcy ludzi), jest jakby muśnięciem pędzla w pustynnym pejzażu. Zaledwie muśnięciem i wystarcza to, żeby były szerokie ulice — parki, ogromne kamienne place, prawie puste, a przy tym tak bardzo harmonijnie zagospodarowane i zazielenione, jasne, smukłe budowle — biurowce, hotele, muzea i teatry, nawiązujące w sposób subtelny i wyszukany do tradycyjnej architektury starej Azji. Ale ślady jej zostały także i tutaj, mimo katastrofy, która zniszczyła 3/4 miasta. W starej dzielnicy białych uliczek odszukujemy niedbale rozrzucone pamiątki sakralne: mauzoleum imama Adu Bakr Kaffal Szazi, jednego z prekursorów mahometanizmu (nad wejściem do mauzoleum wmurowane rogi kozła górskiego — miały wzbudzać szczególny rodzaj bojaźni religijnej), meczety Dżuma i Namagzah, medresa Barakhana, w której mieści się teraz jedna z czterech istniejących w Związku Radzieckim siedziba wysokich władz muzułmańskich.

Po obu stronach wejścia do medresy tkwią muzułmańscy strażnicy w turbanach i długich szatach, ułożeni na niskich leżach w pozycjach całkowicie relaksowych. Tak sam, lub bardzo podobny starzec, siedzący na dywanowej kanapie przed meczetem Dżuma, czę-

hanach, herbaciarniach pod gołym niebem, gdzie można ułożyć się na dywanach, zdjawszy uprzednio buty, w pozycji zupełnie dowolnej i niewymuszonej, przy niskich stolikach i sączyć ów napój powoli i melancholijnie. Uzbeki (prawie wyłącznie mężczyźni) popatrują na nas uważnie, ale bez natarczywości, zza swoich gazet i fajek i tak plawimy się razem w ożywczej atmosferze herbacianego pokoju.

Następnego dnia lecimy do odległej o 650 km Bucharę. Banalna, w porównaniu do poprzedniej, odległość pokonujemy w półtorej godziny, w którym to czasie możemy do woli napatrzeć się z wysoka na niepowtarzalną rzeźbę powierzchni pustyni, na setki dróg, które przecinając się nieoczekiwanie, rozchodzą się we wszystkich kierunkach, i na tę zawieszoną na tysiącach metrów jasną smugę, oddzielającą „czyste niebo” od dolnej, gęstej warstwy atmosfery, przesyconej pustynnymi pyłami. Zdażyliśmy też w tym czasie porządnie zmarznąć, co w sumie było sporą atrakcją. Dlatego też zamęt i panikę wywołała wśród nas wiadomość, którą uraczono nas zaraz po wylądowaniu, jeszcze w samolocie: temperatura w cieniu plus 47C. Ślaniając się na nogach z samego przerażenia, wyszliśmy z samolotu, by dostać natychmiast porządną cios fałą gorąca. Nie było jednak odwrotu, ani ucieczki, ani żadnego ratunku, przerażenie zastąpiło wkrótce zdumienie, że jednak udało nam się przeżyć te kilka pierwszych momentów, a w końcu dzika radość, że to jest do wytrzymania! Nie było jednak mowy, żeby zawlec się gdziekolwiek tego dnia. Legendarne zabójki Bucharę nie zdołały nas wywabić spod zimnych pryszniców, spod wody ulicznych pomp, którą polewaliśmy się obficie i bez żenady, oraz znad soku brzoszewego z lodem, który odnaleźliśmy na nasze szczęście w hotelu Inturistu i popijaliśmy z lubością przez długie godziny. Po nocy, którą przetrwaliśmy owinięci szczelnie

opuszczonej medresy, pokrytej turkusowymi mozaikami? Albo, jak naprawdę wygląda medresa Czor — Minor, wyróżniająca się czterema, błyszczącymi turkusową glazurą kopułami na czterech narożnych wieżach, albo meczet Kallan, którego rozległy dziedzińiec i nisko sklepione wnęki mieściły kiedyś dziesiątki tysięcy wiernych, a dzisiaj jeszcze swoim rozmachem i powagą przewyższa ta budowla wszystkie inne bucharskie meczety?

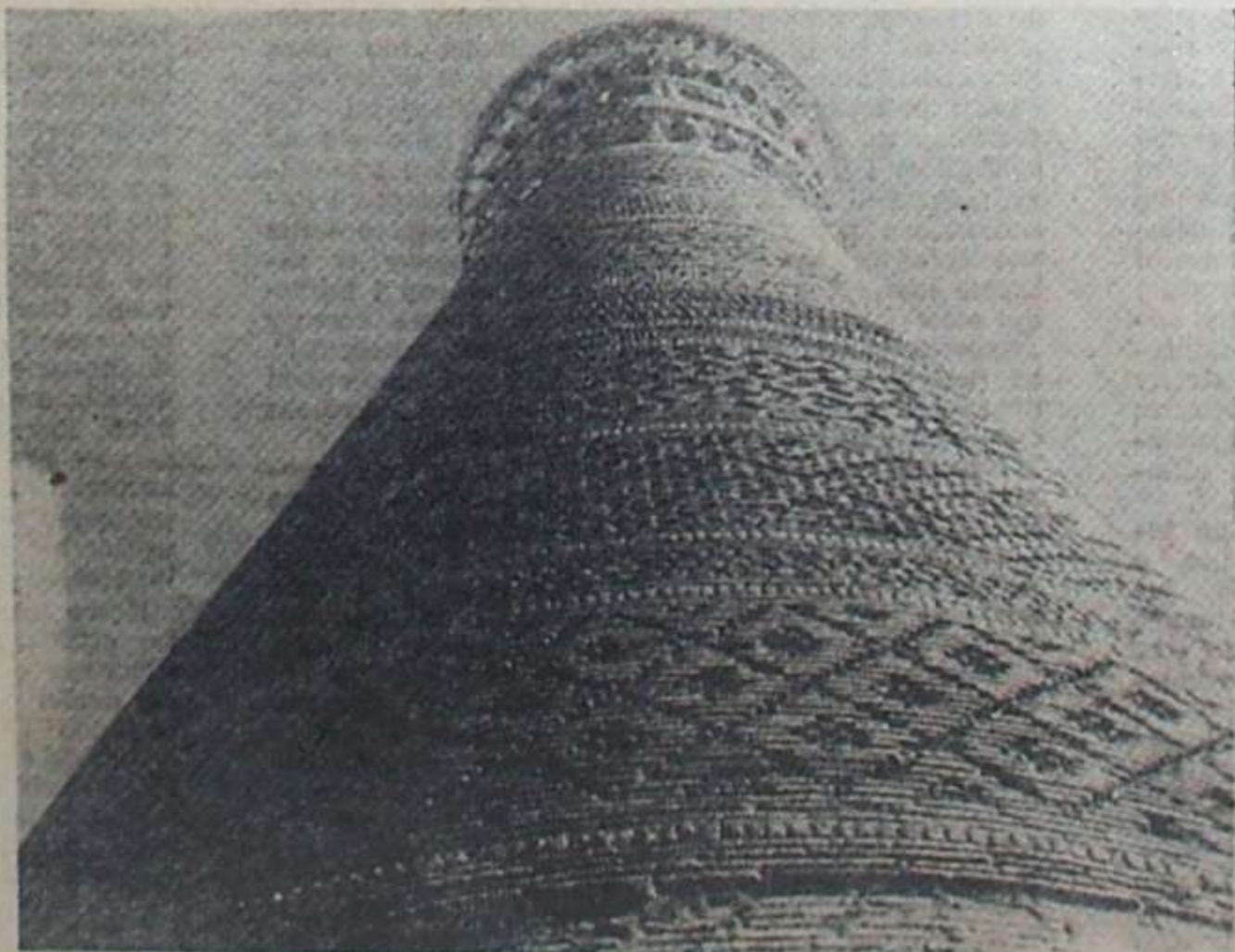
Potem, dla odzyskania utraconego poczucia czasu i rzeczywistości, był bazar, zasłany bogato wszelkimi wyobraźnymi owocami, o wszystkich smakach i barwach, które się mogą tylko przyśnić. Oprócz owoców kupowaliśmy od starych handlarzy nanizane na skreczone druty czarne koralki z białą leżką, które sprzedawano nam ze szczególną powagą i pieczołowitością. Domysliliśmy się (także i po cenie — pół rubla), że mają one rangę talizmanu...

Srodek dnia spędziliśmy, wbrew rozsądkowi i logice, zupełnie nie wiadomo dlaczego, zamiast w chłodnym choć niekoniecznie luksusowym wnętrzu hotelu, waleśając się po Arku — starożytnej twierdzy obronnej, zbudowanej według schematu gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy, gdzie została nam objawiona dwu- i półtysiącletnia historia Bucharę, „świętego miasta”, historia pełna wojen, okresów niewoli, burzliwa i niespokojna. Było to dla nas zdziwiałające, miasto leży prawie dosłownie w środku pustyni Kyzyl — Kum, dlaczego więc, tak bardzo niedostępne, narażone było przez długie lata na napadły z różnych stron?

Jak bardzo trudny był dostęp do Bucharę, można było sobie z łatwością wyobrazić, ale oczywiście bliższy na pustyni, wywieziony 40 km od Bucharę w jej głąb, żeby zobaczyć twierdzę Aleksandra Macedońskiego, jednego, ze zdobywców miasta, twierdzę pochyloną i splaszczona w ciągu setek lat pustynnych wichrów, ale ciągle jeszcze wyniosła, białą twierdzę zbudowaną, tak wszystkie pustynne budowle, z gliny wypalanej na słońcu. Wobec bezmiaru pustyni wygląda ona co prawda dość skromnie i znowu dziwił się, że to nie pustynia oognawała wtedy wojska Aleksandra. Pustynia wyla i sypała nam w oczy piasek, ogromny, biały horyzont łolował krzewy saksauhu klęły nas bezlitośnie i kiedy wchodziliśmy na wierzchołek twierdzy, ciągnął się za nami sznurkiem ciemnych dzieciaków przybranych w kolorowe szatki i brzeznie koralki, które przybyły z paru glinianych domów, tkwiących u boku twierdzy, rzucone w tę przestrzeń bez kresu, jakoś tak nierozważnie...

Samarkanda — to nasze pożegnanie z Azją. Doprawdy, trudno o pożegnanie bardziej uroczyste i wzruszające większy żal. Samarkanda była dla nas od początku do końca wielkim światłem, pojawiła się przepychem, bogactwem barw i kunsztownością ornamentów przewyższającymi wszystko, co widzieliśmy i czego mogliśmy oczekiwać.

Nowoczesność wkrada się tu jakoś niepostrzeżenie, dyskretnie i taktownie. Nie ma Samarkanda tego oszalamiającego rozmachu Taszkientu, nowe, centralne dzielnice są tu utkane jakoś wśród zieleni, nie narzucając swej obecności dawnym pięknościom.



Bucharę: minaret Kallan

Fot. A. Polakowski

NIKT by nie przypuszczał, że w warunkach dzisiejszej feminizacji, kiedy zewsząd słychać głosy nie tylko o zaniku pierwiastka męskiego w życiu publicznym i prywatnym, ale również o niewieścieniu samych mężczyzn, wystąpi ktoś w obronie uciśnionej kobiety. Uczyniła to Anna Tatarkiewicz artykułem „Bądź piękna i milcz!” zamieszczonym w „Kulturze” z dnia 14 IX 1975. Artykuł m. in. zawiera cytaty z francuskiego miesięcznika „Science et vie” z którego wynika, że mężczyzna ma talent do nauk ścisłych, kobieta natomiast przewyższa mężczyznę logiką. Nie wiem w jaki sposób można mieć wyższe osiągnięcia w naukach ścisłych nie przodując równocześnie w umiejętności ścisłego rozumowania i dlatego kobieta, która jest bardziej logiczna, nie ma wyższych o-

siągnięć w dziedzinie nauk ścisłych, ale możliwe, że to wszystko się zgadza w obrębie logiki kobiecej, której próbki demonstruje wymieniony artykuł. Oto:

1. Autorka przytacza opinię Simone de Beauvoir, która twierdzi, że nie ma mowy o wyzwoleniu kobiety, dopóki nie skończy się z mitem

5. ...jak niewiele napisano o tymiarze psychicznym ciąży prawidłowej... W literaturze pięknej? Napisano dość, o czym krytyk literacki wie najlepiej. W specjalistycznej? Tę bardziej interesują przypadki patologiczne. Równie dobrze można mieć pretensję do medycyny, że nie zajmuje się ludźmi zdrowymi.

9. ...nasza współczesna rodzina monogamiczna kontynuuje wzorzec wypracowany przez rolniczą ludność Półwyspu Apenńskiego. Ponieważ nie co innego, tylko nasza współczesna rodzina dała autorce absurd do podjęcia obrony kobiet, więc jak może mieć ona związek z ludnością rolniczą, czyli tą, która uznawała równouprawnienie płci?

10. Najważniejszy udział w wynalazkach determinujących przyspieszenie (cywilizacyjne — dop. mój), miały narody, które przyjęły tę czy inną z odmian chrześcijaństwa zreformowanego — „oczyszczonego” m. in. z kultu Matki Chrystusowej. Jakże pięknie pokrywa się geografia wynalazków z geografiami religii!

11. Skądinąd wybitny futurolog, Robert Jungk, bez badań, tylko na podstawie obserwacji, twierdzi, że kobiety znacznie konkretniej podchodzą do spraw ludzkich. Co dziwi: że futurolog, że bez badań, czy głębiej i doniosłość odkrycia?

12. Warto zauważyć, że jedyną właściwą kobietą, która jak dotychczas odegrała naprawdę przełomową rolę w kulturze, pani de Staël... Po pierwsze: coś tu chyba ma do powiedzenia np. Skłodowska-Curie, a po drugie: jeśli jedyna, to fakt ten autorka powinna skrupulatnie zataić, bo gdzie wtedy te wartości, które tak nieszcześnie nie mogą dojść do głosu torpedowane przez zawistnych mężczyzn? Nie twierdzą, że ich nie ma, tak twierdzi z zdziwiającą konsekwencją Anna Tatarkiewicz.

13. No i w końcu, jeśli idea małżeństwa partnerskiego — tego dobrego, tego napawającego otuchą — z taką łatwością realizuje się u nas to gdzie powód do całego larum? Gdzie ta mysz?

Nie wszystkie to nielogiczności artykułu „Bądź piękna i milcz!” Pomijam te, których wykazanie wymagałoby większych obszarów tekstu.

Nie jestem antifeministą. Jestem zwolennikiem trafnej argumentacji. Tatarkiewicz zarzuca Simone de Beauvoir, że widzi poprawę losu kobiety wtedy, kiedy kobieta przestanie być kobietą. Postępuje tak samo. Ze kobieta jest kobietą, obwinia mężczyzn. Nie stało się chyba tak, że któregoś pięknego dnia zebrał się kongres dżentelmenów zakończony rezolucją: „panowie — zaczynamy gnębić”. Natura, kondycja egzystencjalna (termin z tej leksyki) postawiła kobietę w tej sytuacji — nie bez uwzględnienia jej warunków przyrodzonych, nie bez jej udziału i zgody. Autorka oskarża: my rodzimy, my karmimy, my wychowujemy, my się poświęcamy, a wy panowie, co? Później się okazuje — ciągle ta logiczna chybotka — że właśnie w tych cierpieniach kobieta przeżywa swoje szczęście. Obiecuj jej złote góry, wybierz dziecko. Wybiera słuszenie. Od tego jest. Więc co? Za mała atencja społeczna? Proszę mi w analogii do Dnia Kobiet pokazać Dzień Mężczyzn. Owszem, mają go. Jako hutnicy, górnicy, stoczniovcy, kolejarze. Jako mężczyźni — nie.

Po przysłowia o nakazie milczenia kobiety autorka musiała się udać do łaciny i francuskiego. W polskim ich nie ma. Wolno kobiecie mówić. Tylko niech nie powoduje, że kiedy mówi, zamiast słuchać, patrzmy. Coraz szerzej otwierając oczy.

Stanisław Zieliński

Bądź piękna i mów

macierzyństwa. Mitem. Mł. O Tezeusza, a argonautach, o macierzyństwie. Kobieta nie rodzi dzieci. To podpowiada nam tylko poetycka wyobraźnia.

2. Ewolucję społeczeństwa ludzkiego przesądziła (...) zdecydowana przewaga żywiołu męskiego prowadząca w ostatecznym rozrachunku do przyspieszenia cywilizacyjnego. Bo przyspieszenie cywilizacyjne nie jest wynikiem napięć w samej cywilizacji istniejących, lecz rezultatem „zmowy mężczyzn”. Czy nie lepiej zrobiłyby kobiety, posiadając przecież wyższą umiejętność logicznego myślenia, gdyby sprawę ewolucji społeczeństwa wzięły we własne ręce? Już nie pamiętam, gdzie kiedyś przeczytałem o szczęściu, które nas ominęło: gdyby postęp ludzkości zależał od kobiet, do dziś żylibyśmy w jaskiniach.

3. ...musi dojść do przywrócenia owej w jakimś momencie dziejowym zachwianej równowagi między dwoma płciami. Wiele wdzięczności ze strony mojej edukacji za bliższe określenie „jakiegoś momentu dziejowego”. Kiedy był? W XV wieku? Za Cezara? Za króla Cwiczka? Bo nawet jeśli do dziejów zaliczymy czasy przedhistoryczne, to stwierdzimy, że i tam równowagi nie było. Najpierw dominacja kobiety, kiedy nie wiedzieliśmy, że mężczyzna ma jakiś udział w prokreacji, później mężczyzny, kiedy się okazało, że jest cokolwiek inaczej. Czyli w sprawie równowagi nie ma po co iść nawet do neandertalczyka. Gdzie — psia kość — podział się ten przeklęty „moment dziejowy”?

4. ...pośród powodów tekstów, poświęconych emancypacji kobiet, nie spotkałam próby sprecyzowania, na czym polega swoistość doświadczenia egzystencjalnego kobiety. Są dwie możliwości. Pierwsza: rzecz wymaga wnikliwych analiz, a zatem brak owych tekstów rzuca zdecydowany cień na wyższość logiczną kobiet, które nie uporały się z uprzystępnieniem tego przecież ważnego dla nich zagadnienia. Druga: rzecz nie wymaga wnikliwych analiz co zresztą przyznaje sama autorka bez chwili wahania stwierdzając, że tym doświadczeniem jest macierzyństwo, a zatem nie ma powodu do zdumienia, skoro nie mówi się o sprawie oczywiście.

6. Przeciwno mężczyznom ma świadczyć zachowanie się psa, który będąc ojcem nie wykazuje objawów opiekuńczych w stosunku do swojego potomstwa. Ale zaraz potem pada przykład wilka i lisa, które postępują wprost przeciwnie. Która przesłanka jest aktualna? Bo jeśli druga, to z wnioskiem nie tego.

7. Mowa o dwu okresach. Pierwszy to ten, kiedy kobieta była uważana za jedyne źródło ludzkiego życia i była otaczana czcią. Drugi to ten, kiedy mężczyzna posiadał już wiedzę o istotnym stanie rzeczy, w związku z czym pozycja kobiety spadła. Tu następuje wręcz: przy czym ten drugi trwał do bardzo niedawna, do chwili precyzyjnego, naukowego zbadania mechanizmu prokreacji. A więc jest jakiś okres trzeci! Czym się charakteryzuje? Albo przywróceniem przewagi kobiety, albo upragnioną równowagą płci. Innej możliwości nie ma. Więc gdzie jest powód do narzekania?

8. Nie wiem jakiego autorstwa jest opowieść o Adamie i Ewie, wiem natomiast, że o Prometeuszu i Pandorze przekazali nam Grecy. Ale, że oba te mity powstały za przyczyną ludów pasterskich, które miały okazję zaobserwowania pewnych aspektów reprodukcji, a nieznacznie tylko podlegały egalitarnemu wpływowi, jakie z natury rzeczy wywiera uprawa roli wymagająca ściślejszego współdziałania mężczyzn i kobiet, dowiadujemy się dopiero teraz. Dopiero teraz wiem, że szanowni panowie Hellenowie z rolnictwem nie mieli nic wspólnego, jak również, że „pewne aspekty reprodukcji” są do zaobserwowania tylko na łące, natomiast ani ich uświadczysz na podwórzu. Na podwórzu jest tylko egalitarny wpływ. Zauważmy też pewien erytyczny chwycik. Autorka oba mity przypisuje pasterzom, bo pasterze to byli ci niezegalitarnizowani nieokrzeszańcy, którzy kobietę w swej legendzie oskarżali brzydkimi cechami: Ewa podała jabłko, Pandora była głupia. Ach, ci mężczyźni! Tymczasem — o Adama nie będę się spierał, natomiast mężem Pandory nie był Prometeusz, lecz Epimeteusz, równie głupi jak ona, więc i tworząc tę legendę mężczyźni nie postąpili po swojemu, czyli egoistycznie.

dia to przecież także robota) i tkwiącego w określonym społeczeństwie, które najmocniej kształtuje system pojęć i wartości młodego człowieka. A swego czasu w pewnych i wcale szerokich kręgach owego społeczeństwa wielką karierę zrobiło porzekadło: „czy się stoi, czy się leży, dwa patyki się należy”. Zawierała ta rymowanka afirmację cwaniactwa i dyrektywę praktycznego działania, łatwo wpadała w ucho, a co najważniejsze — jakoś sprawdzała się w charakterze programu życiowego. Czy można się zatem dziwić, że ktoś, kto przekreślał jej sens rzetelnym stosunkiem do roboty, skazany był na baniekę? Nie kochano zatem przodowników — robotniczych i studenckich.

Ostatnio jednak aktywa prymusów podobno zwyżkują na studenckiej giełdzie towarzyskiej. Niektórzy wzięli to z funkcjonującym od kilku lat nowym systemem stypendialnym, który premiuje dobre wyniki akademików w sposób wyraźny. Jesteś lepszy, nie schodzisz poniżej „czwórki”, możesz otrzymać i dwa tysiące miesięcznie.

Jesteś najlepszy — masz prawo do dodatkowej premii ze strony Polskiej Akademii Nauk i w sumie bierziesz do kieszeni dwa i pół tysiąca...

Owszem, ostrogł materialne mają swoje znaczenie, windują studenckie ambicje na postument konkretnej wartości. Osobiście jestem przecieł przekonany, że klimat szacunku jaki zaczyna się wytwarzać wokół najlepszych studentów jest pochodną postępującej zmiany w społecznym stosunku do rzetelnej pracy. Taka praca zaczyna być coraz wyraźniej premiowana — zarówno w sensie materialnym jak i moralnym.

Aby jednak osiągnąć stan pełnego zdrowia społecznego ostrzej zabieramy się do rygasów i nie eksponujemy przeciętnych którzy w innych warunkach sprawdzili się jako poprawni i wspaniale recytujący różnorakie litanie. Komputerów nie można programować modlitwą.

K

Kamena str. 5



Fot. J. Rudnicki

Skąd się bierze dobry student?

JESZCZE niedawno płakaliśmy prasowo nad losem dobrego studenta. Powinny być szanowany przez otoczenie, występować w roli zaraźliwego wzorca, tymczasem właśnie prymus dostawał niezrządki w kość od koleżeństwa, otaczał go dyskretny bojkot towarzyski i opinia pozbawionego wyobraźni tyraka. Mądrzy ludzie zastanawiali się, dlaczego tak jest właśnie, stawiali diagnozy rodzem z socjologii, psychologii i historii. Nie lubi się kogoś, kto jest lepszy za bardzo, albowiem uzmysławia pozostałym ich własną przeciętność. Nie

holubi się jednostki wybitniejszej, wyrastającej ponad, bo ludzie na serio traktują hasło egalitaryzmu i uważają, że wszyscy powinni być równi. Zgodnie z takim myśleniem należy zatem ścigać dobrego i ambitnego Kazia na dno kociołka — jak w znanej anegdocie o polskim piekle, która zresztą funkcjonuje w innych nacjach, ilustrując ponoc sytuację w piekle szwajcarskim, włoskim etc.

Rzadko w tych rozważaniach traktowano studenta zwyczajnie, jak człowieka wykonującego określoną pracę (stu-

Refleksje nieodświętne

Wojciech Kurhan

OKAZUJE się, że choć zaniknęła w kraju przestępczość polityczna w formie walki zbrojnej z ustrojem, skończył się szaber i spekulancja, pojawiły się jednak nowe zjawiska: przestępczość gospodarcza, dewizowa, chuligaństwo, przestępczość nieletnich. I powstaje kwestia źródeł tych zjawisk, a raczej w ogóle przestępczości, w naszym kraju.

W bieżącej pracy milicji niemożliwe jest prowadzenie systematycznych badań kryminologicznych nad źródłami przestępczości, tym zajmują się fachowcy-naukowcy. Codzienna praktyka milicyjna prowadzi jednak do wniosku, że duża grupa przestępców to młodociani i nieletni. Ci ostatni celują szczególnie w kradzieżach środków lokomocji, czyli samochodów, motocykli i motorowerów, co nasila się w sezonie letnim. Ale wiek całej tej grupy wskazuje na poważne zaniedbania wychowawcze. Chłopak nie uczy się, nie podejmuje pracy, mamusia jeść da, a on chadza po świecie jako „luzak”. Włamuje się z podobnymi sobie kumplami do kiosku czy sklepu spożywczego i co zabiera? Papierosy, słodycze, soki i alkohole, czasem konserwy.

Już z tego widać, że nie bieda pcha ich do włamań, bo konserwy występują tutaj chyba w charakterze... zakąski. Zresztą dochodzimy tu do jednego z najważniejszych czynników kryminogennych, mianowicie alkoholizmu. Nadużycie alkoholu jest najczęstszą przyczyną przestępstw przeciw życiu i zdrowiu, czyli bójek, pobić i rozbojów, choć również wypadków drogowych. Druga sprawa, że aczkolwiek ostatnio w województwie nie notujemy zasadniczo ciężkich rozbojów przy użyciu niebezpiecznych narzędzi, to jednak nie spada liczba przestępstw, głównie rabunków i kradzieży, dokonanych na ludziach pozostających pod wpływem alkoholu. Pijany człowiek to najłatwiejsza ofiara dla przestępcy.

Wśród przyczyn wymienia się także uboczne skutki uprzemysłowienia i urbanizacji kraju. Masy ludzkie migrują ze wsi do miast, budują zakłady przemysłowe, tworzą nowe środowiska miejskie. Procesy te przebiegają szybko, powstają grupy ludzi gwałtownie odciętych od swych naturalnych korzeni, rozchwianie norm moralnych, systemów wartości. Rzeczy znane i powtarzalne, szczególnie, kiedy nowe organizmy przemysłowo-miejskie powstają na terenach „surowych”. Na to wskazują doświadczenia Nowej Huty, Konina i Płocka. W pewnym stopniu należy tu mówić o nieuchronnej cenie,

jaką płacimy za przyspieszony rozwój kraju.

Ale tylko w pewnym stopniu; można by się bowiem ustrzec powtarzania określonych błędów. Wokół nowo wznoszonych inwestycji przemysłowych zbyt późno powstają osiedla mieszkaniowe, obiekty kulturalne i rekreacyjne, a przecież mają tu mieszkać i pracować tysiące ludzi. Nie chodzi nawet o załogi przedsiębiorstw budujących zakłady przemysłowe. Ci ludzie, nawet jeśli żyją w barakowozach, są do tego przyzwyczajeni, zbudują i odjadą. Chodzi jednak o przyszłe załogi wybudowanych świeżo zakładów. Nie mogą żyć na pustyni, zabudowanej barakami, czy mrowianymi zbiorowymi hotelami. Zarabiają sporo i jeśli nie widzą szans na założenie czy sprowadzenie rodziny, na życiową stabilizację, udają się do sklepu, żeby nabyć litr wódki i tak dalej. Jest to temat, któremu lubelska milicja — z istoty rzeczy poświęca wiele miejsca w rozmowach z dyrekcją Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Zresztą jeszcze w trakcie wznoszenia inwestycji same place budowy, jeśli nie są należycie zorganizowane, także stwarzają okazję dla przestępstwa, głównie kradzieży. Też rzeczy znane.

Tyle że to już sfera powinności wykonawców i inwestorów, w związku z czym zresztą ośmieliłbym się wygłosić nieco ogólniejszy pogląd, że milicja, choć głównym jej zadaniem jest ściganie przestępstw, bywa czasem obciążona czynnościami profilaktycznymi, do pełnienia których powołane są inne in-

stytucje i organizacje. Funkcjonariusze wygłaszają pogadanki w szkołach, opiekują się nieletnimi zbiegami z domów rodzinnych, doglądają stanu sanitarnego różnych obiektów...

Faktem jest, że od paru ładnych lat istnieje słuszna koncepcja równowagi ścigania i profilaktyki w pracy milicji. Ale oczywiście w profilaktycznym kontrolowaniu organa MO nie powinny wyręczać specjalistycznych instytucji, bo umniejsza to rangę tych instytucji, a czynności wykonane są niefachowo. Milicjant może sprawdzić, czy podwórko jest czyste, ale nie zbada jakości urządzeń sanitarnych na przykład. Milicyjna profilaktyka opiera się głównie na prawidłowym organizowaniu działania ORMO, zarówno w placówkach terenowych i zakładowych, jak i specjalistycznych: ruchu drogowego, bezpieczeństwa na wodach, do spraw nieletnich, i innych.

Powstaje pytanie, czy gdyby, jak w innych państwach, milicja wydawała prawa jazdy, nie wpłynęłoby to na poprawę sytuacji w ruchu drogowym. Byłoby to rodzaj profilaktyki. Wydaje się jednak, że nie chodzi o to, kto wydaje prawa jazdy, lecz idzie o poziom szkolenia kierowców i dokładność badań lekarskich. Kończy się kurs, dostaje się prawo jazdy, ale jeździć jak się nie umiało, tak się nie umie. Po kursie człowiek potrafi kręcić kierownicą. Siada do samochodu i nie zdaje sobie sprawy, że jest potencjalnym zagrożeniem bezpieczeństwa na drodze.

Ludzie zresztą w ogóle bywają nie-

frasobliwi. Zdarzają się kradzieże torebek powieszonych na płotach lub pozostawionych na parapetach okiennych na parterze przy otwartym oknie. Pewien pan, plażując nad Zalewem Zemborzyckim, stracił 30 tysięcy, które trzymał w beztrosko rzuczonych spodniach, a sam wyruszył w slipach na amory. W województwie lubelskim bardzo mało notuje się zbrodni o znacznym ciężarze gatunkowym: zabójstw i ciężkich rozbojów. Istnieje natomiast pewien wzrost przestępstw drobnych, a w każdym razie nie powodujących zbyt wielkich strat; idzie o kradzieże z włamaniem do obiektów uspołecznionych i prywatnych, kradzieże mienia osobistego, w tym szczególnie kradzieże kieszonkowe w Lublinie. Najbardziej niepokoją kradzieże środków lokomocji oraz każdy przypadek kradzieży z włamaniem do mieszkania obywatela, i na ściganie tego rodzaju przestępstw KW MO kładzie szczególny nacisk. W okresie ośmiu miesięcy bieżącego roku milicja wojewódzka wykryła sprawców 300 przestępstw więcej, niż w analogicznym okresie roku ubiegłego na terenach obecnego województwa.

Ze skutecznością działań wiąże się poziom kadry. Jest zasada, żeby najbardziej wartościowych ludzi ciągnąć do góry: z posterunków gminnych do komisariatów i komend miejskich, a stamtąd do komendy wojewódzkiej. Jednak w efekcie nie prowadzi to do sytuacji, iż w posterunkach gminnych pracuje najlepsza kadra, najsłabiej wyposażona. Po prostu dlatego, że w ogóle nie przyjmuje się do milicji ludzi bez średniego wykształcenia. Obecnie w lubelskiej milicji szkolenie skoncentrowane jest na komendantach posterunków gminnych właśnie. W przyszłym roku kilku już rozpocznie studia. Zakłada się, iż w przyszłości każdy komendant posterunku gminnego powinien mieć studia wyższe. Obecnie kilku już studiuje. To jedna sprawa. Ponadto posterunek gminny ma określone zadania, do których jest przygotowany. W trudniejszych wypadkach pomoc służą komisariaty i komendy miejskie, choć posterunki gminne podlegają bezpośrednio komendzie wojewódzkiej. Funkcjonariusz posterunku gminnego nie będzie przecież prowadził śledztwa w sprawie zabójstwa, musi tylko umieć odpowiednio zabezpieczyć ślady, resztą zajmą się pracownicy szczebla wojewódzkiego.

Z okazji milicyjnego święta warto podumać nad... codziennymi problemami tej trudnej pracy.

Henryk Makarski

PIERWSZA OPOWIEŚĆ OJCA

*umilkły w maju karabinów śpiewy
salwy perliste srebrzystego śmiechu
i kiedy ogień w popiół się ukorzył
szliśmy nabożem przypalonej miedzy*

*w podartych butach wojennych lachmanach
z białoczerwoną na rękę opaską
szliśmy powoli przez pustynię świata
poprzez spalone wsie wymarłe miasta*

*kladły się cienie na rodzinnych zgliszczach
dławiły cienie w bratobójczych mordach
pod jednym dachem bandzior i milicjant
wokół pustego stołu musieli się czolgać*

*dudniły szyby nocą w czerwonych zagrodach
psy wyły ogłupiale w wymarłych podwórzach
i gnęło słowo „Polska” na świstkach wyroków
z orłem w koronie ogromnej do nieba*

*nie dowierzając tej rzeczywistości
szukałem czegoś co było w pamięci
czymże jest pamięć — poetką patos
na białym koniu damą z Samosierry*

DRUGA OPOWIEŚĆ OJCA

*z białoczerwoną przepustką na rękę
do bram historii pukalem zawzięcie
chcąc w mroku nocy zrozumieć piosenkę
do której kosa układała refren*

*wystarczy przecież ręką tylko sięgnąć
a prosta kosa w pismo się zamienia
choć nieczytelne ale w sobie mieści
tak wiele faktów zapisanych gęsto*

*a na jawn także te wychodzą treści
jak człowiek który pod zasłoną grubą
myśli uwiędłych bardzo ze znaczenia
dusić się musi patrząc na siekiere*

TRZECIA OPOWIEŚĆ OJCA

*szliśmy przez drogi krwawo zakurzone
nadzieją krasząc brudny kamień chleba
a gdy straciłem oko przy furcie klasztornej
do ziemi było bliżej niż do nieba
z głową w gorącym piachu
począłem się modlić
do wnętrza kuli*

*babie lato to proch umarłych
rozprysnięty na drzewach płomieni
dęby stojące na głowie pomiędzy zmarszczki
ziemi*

*wpełzły
człowiek do wiatru się tulił*

ZNALEZIONA NA STRYCHU FOTOGRAFIA MORDU DOKONANEGO PRZEZ BOJÓWKĘ „ROLI” NA OŚMIOSOBOWEJ RODZINIE MODZELEWSKICH W 1945 ROKU...

*równo ułożeni na śniegu
milczą
jest biało i cicho*

*chłopczyk — ten ostatni w szeregu
w pośpiechu
nie zasznurował bucików*

*stoi nad nimi milicjant
w długim płaszczu pochylony
ze wzrokiem w niebo utkwionym
na rękach dziecko trzyma
co mówi jego oczy
milczą
jest biało i cicho
zima*

*człowiek — to jednak brzmi dumnie
nawet wtedy
gdy nie umiera
a zdycha*

PODZWONNE DLA ARKADII

W KRAINIE mojego dzieciństwa — bezbrzeżnego lata i pulsującego słońca — na podmokłych łąkach nadnarwiańskich gniazdowały niezliczone kolonie złotych kaczek, zaś w ogródkach okalających omszałe chaty bursztynowe stada dorodnych słoneczników, których każdorazowe zniechęcenie, połączone z popieszczeniem powrotem jaskółek do gniazd, oznaczało nadejście kolejnego wieczoru. Wówczas też budziły się dzwony napęczniałej modlitwy cerkiewki, a głos ich — łagodny, kojący, dostojny — rozlewał się po okolicy, przyzywał bydło do obór oraz wywabiał z zagajników dzikiej winorośli nietoperze, które niezwłocznie zabierały się do sznurowania ludzkich powiek zrygnowanym ściegiem bezszelustnych skrzydeł.

Owa kraina dostrzegam już tylko niektórymi włóknami pamięci. Od dawna bowiem jestem dorosłym i aż nadto oddalonym od tamtych krajobrazów i wszystkiego tego, co rodziło się lub obumierało w ich zakamarkach. Coraz częściej wysiaduję przed szklanką dymiącej kawy albo butelką gorzkniejącego piwa. Zdarza się, że za oknami — w nikłym blasku warujących gwiazd, które stały się jedynym dowodem istnienia nieba — rozprzestrzenia się zmierzch, lecz jakże odmienny od wieczorów z epoki mojego dzieciństwa. Wyszczerebiony księżyc zabiega natarczywie o zaznaczenie swej obecności na powierzchni ziemi przynajmniej kilkoma kreskami i chyba dlatego klóci się z jeziorem niezgłębionym jak lęk wywołany zagadkowymi wizjami sennymi i uraga drogim wszelakim, odbierającym okrojona teraźniejszość na rzecz połowicznego jutra.

Jestem — jak łatwo się domyślić — na szlaku opisywania i nie mogę wyostać się z gmatwaniny natrętnych obrazów, cofających się w momencie zbliżania i przybliżających się w chwili oddalania. Ich nieuchwytność miała ratować mnie przed wyczuwalnym krachem, a okazała się zaledwie pomostem pomiędzy wielkim Nic i wszechogarniającą Nicością, do której wkraczam zmniejszającymi się stopami, pozostawiającymi coraz głębsze ślady. Zanim utonę, pragnę odnaleźć miejsce dla siebie w zmieniającym się świecie. Jest to ponoć nieosiągalne skoro dotychczasowe poszukiwania są ciągle bliższe korzeniom niż jakimkolwiek wierzeholkom.

Zagubione pośród odległych pól słoneczniki o świecie wywęszą słońce, a ja — ograbiony z zaprzyjaźnionych krajobrazów — czy zdołam w porę ujść przed pogonią wszystkich bezdomnych mieszkańców planety zdeptanej nieustającą gonitwą...

SPOWIEDZ AUTOBIOGRAFICZNA

W DALEKIM mieście gdzie bezwonne kwiaty strzegą balkonów przed inwazją kurzu; gdzie w miejscu twarzy są najczęściej maski, nieprzemakalne i nieprzeniknione; gdzie sen jest jawą a jawa gonitwą, będąc ponadto przedsiönkiem teatru, w którym nie grywał żaden z moich przodków ról byle jakich, bo nie z pola rodem — jestem, by nigdzie w pełni nie być sobą... Nie płacz, matko, to nie twoja wina, że bosym stopom dróg było aż nadto i zagonów zwarzonych przymrozkiem i pokrytych szrenią wygonów. Wiem, że Naraw pławi się jak wprzódy i jak ongiś wprzęgają się w łąki zimne wody krętego Rudnika; nocce stają się coraz chłodniejsze — wkrótce jesień falą grzybów przepływie przez lasy, niebo ptactwem milknącym przemierzy i ukryje się jak zaczyn w dzieży — w odświeżonych przyzbach ostatnich...

Przebacz, ojcze, to nie twoja wina, że gościnniec odebrał ci syna; jego ręce — wykrecone z pracy — zwiędły i zaledwie tyle znaczą, co złamane skrzydła jastrzębia, który kiedyś chciał tańczyć z wichurą. Pod powalą stłoczone makówki wróżą ciszę jak makiem zasiał; ogień w piecu roznamiętnia cegły aż z zazdrości schną słone koszule — całodzienne chłopskie bandaże...

Wybacz, bracie, to nie twoja wina, iż splóneły mosty między nami; musisz wiedzieć, że gdy ja przeminę — ty zostaniesz w zielonej otchłani. Nad Imszarem szybuje tęcza; tylko patrzeć spadnie gwiazda — domyślasz się — czyja; jeszcze tylko kilka chudych listów i jak wilk raniony wrzoz zawyje i zaświszcze wiatr w szuwarach deszczu...

GDYBYM MIAŁ CIEBIE...

DO ciebie szedłem stepem przeczącym się w słońcu, przez las cienisty i cierniste ogrody. Przemierzyłem siedem baśniowych rzek i tyleż gór nieistniejących, szukając twojej twarzy w kolorowym tłumie, rozpryskującym się na grzbietach nagich snów ulotnych. Omijały mnie zimne chodniki miast zaklętych w kamień, a większe ścieżki — zasiane wśród chwastów i zboża — parzyły stopy żwirem, pokrzywą lub ostem i były mileżące.

W przedostatnim miesiącu roku i w ostatniej dnia chwili zbiegły się nasze tropy na mokrych bezdrożach. W zaułkach, których już nie ma, pośród ludzi ubranych w protezy i maski, pod niebem bezlistnym — zsumowaliśmy krok i żeby iść

obok siebie poprzez lzy przetykane płochliwym uśmiechem.

Mijały lata, lecz ja nadal nie mogłem wyzbyć się lęku przed osamotnieniem i może dlatego do każdego pocałunku przykijałem pełon niekłamanej twógi szepci:

...gdybym miał ciebie przetopić w cień płaka — skrzydeł nie dałbym, wiedząc, że odleci...

W takich chwilach również moje dłonie dopominały się o głos, chcąc oznajmić złowieszczą wróżbę:

...gdybym miał ciebie przemienić w motyla i na pożarcie dać minutom trwania — soaalbym w trumnę albumu ułożyć...

Buntowałem się przeciwko możliwości spełnienia tej alternatywy i dlatego skwapliwie godziłem się na inny wariant konieczności:

...gdybym miał ciebie powrócić w dziewczynę — rzekłbym co prędzej: jesteś, a ja obok...

Teraz już wiesz, jak poczęło się nasze wspólne życie i jak narodził się mój wieraz o tobie, prządko, zwana pożądaniem...

KIEDY PŁAKAŁY GROBY...

PAMIĘTASZ, jak tańczyłaś tego lata w blasku słonecznym i w deszczu spadających gwiazd — naga w każdym calu niczym pogańskie posagi, stracone przez prefantów w aorty bystrych rzek — cała moja i tylko moja na bezdrożach oślepych i w okowach samotności, trwałszych od wszystkich naraz kajdan oraz krat...

Prometeusz raz jeszcze splunął ogniem skradzionym... Widzę twoje włosy płonące i oczy bez łez, więc jesteś kwiatem na ołtarzu pieców — opiekunką płomieni czy też nowym wcieleniem Joanny d'Arc. Obok płacze Grażyna — bogini litewska — jej rozgrzana zbroja rozpada się w proch...

Tracąc oddech, uciekamy daleko: dudni ziemia odpadająca od stóp, kruszą się trawy i kurczy się las, a rzeki — rzeki wychmurzyły się i są nieobecne jak cienie, które zerwały się ze smyczy naszych ciał... Spójrz, dookoła już tylko popioły oraz groby pokrywające się słoną rosą...

Jak tu cicho — odrunęły słowa... Ogołocone ptaki ścierały się do stóp... Bogowie — jeśli nie zawsze jesteście kamienni — zmusicie zegary, by pośleły wstecz i wyzbyły się czasu, który przędły w chwili, gdy rozpedzone drogi wstrzymywały bieg na widok ostatniej sarny — mojej żony płonącej...

Miniatury prozy poetyckiej z przygotowawanego do druku przez PW „Iskry” tomu pt. „Harakiria”.

BALLADA O PARTYZANCKIM ŚLUBIE

W kępie wiązów i wierzb
drewniana wieś
chłopcy z lasu wracają
we wsi muzyka

Rozszumiały się jabłonie
bo dziś nocą w sadzie
ślub najdzielniejszego
partyzanta w oddziale

Broń w stodole zostawili
czapki z głów i w górę
cieszymy się
śmierć za siódmym lasem

została

Już grusze wytaczają swe basy
na mandolinach wiśnie grają
agrest na sztachetach
z towarzyszeniem chóru malin

gra

Noc czerwcową obiecuje
dzień uprosić
by szedł długo długo
by błędził po polach i wrzozach

Pachnie księżycowym sianem
tańczą jaśminy przy drogach
raduje się wieś cała
nocy i panny młodej urodą

tak to pewne już wywiozą nas
na poetycki ementarz
odartych do ostatniego wiersza
i ostatniej metafory
całkowicie nagich z kroplą
krwi na wargach
i rakiem który
uwil gniazdo nad okiem
po lewej stronie czaszki
ale o tym to już tylko
my dwaj wiemy

WRZESIEŃ

U sąsiada dziecko płacze
w sadzie czerwienią się jabłka
czarownica z bagien
z koszem przybiegła
Zabierze dziecko
ukradnie jabłka
wodę w studni zatruje
Stać wiedźmę na to
wczoraj na kartofliska
mróz sprowadziła

a teraz będziemy marzyć
najbezpieczniej jest marzyć o dzieciństwie
oto uzbrojeni w drewniane szpady
harcerskie noże
idziemy na wielką wojnę
ze strachami na wróble
słonecznikami i sową

matki pochylone nad kołyskami
znów nam nucą do snu luli — luli
jakie to szczęście że one nie umierają
ojcowie uczą paść krowy
nazywać ptaki
widły trzymać w dłoniach i pióro

a babcie opowiadają o czarownicach
że o północy przychodzą do sadu
i ze zbutwiałych liści wybierają
jabłka schowane przez jeże
nad ranem przytuleni do szyby
patrzemy jak uciekają
gonione przez wiejskie psy

a teraz przywołamy młodość
gorące podlaskie lato
żniwa
dziewczyny nad Krzną wyzymające z włosów upał

i pierwszą miłość

a teraz
zanim świt stanie w oknie
zawstydzony że musiał wzejść
uciszmy złudzenia
teraz niech przyjdzie sen



Fot. M. Ryzaj

NA GAZIE I HAMULCACH

UZBIEGU lubelskich ulic Kalinowszczyzna i Bieruta tylne prawe koło przysiadła jeszcze bardziej. Jest wrześnie sroda, pasazerowie poukladani na sobie, niemal jak papryka w słoiku. Gorąc wewnątrz pojazdu i ciepłota za otwartymi oknami i dachem. Stamtąd, z zewnątrz wdziera się do środka smród przytartej, pod ciężarem o karoserię, opony. Mimo ten ścisk ktoś otworzył tranzystor, słyszymy pierwszą bramkę wbitą przez „naszych chłopców” Holendrom. Zakłady mężczyźni zmieniają swoją treść, przybywa optymizmu. Nikt jednak nie wie, że po powrocie do domu zobaczy w telewizji trzy następne gole. To, co się dzieje na odległym stadionie, łagodzi tymczasem niewygody jazdy miejskim środkiem lokomocji. Więcej ludzi wysiada niż przybywa, a ciasno jest niemal do końca linii. Prawie nikt nie kasuje biletów, nie podaje ich sąsiadom, wszyscy trzymają ręce przy sobie i nad sobą, przy drążkach. Nieludzki tłok, ścisk, nie ma dziś tylko zgrzytania zębów.

Zresztą lubelscy pasazerowie miejskiej komunikacji w ogóle są bardzo cierpliwi i rzadko na siebie warczą, a przecież sporo takiego ujadania między ludźmi spotyka się w Warszawie. Znoszą męki ponad półgodzinnych nieraz podróży z LSM do FSC z podziwu godnym samozaparciem. Między sobą są więc poprawni, natomiast czasami dostaje się Bogu ducha winnemu kierowcy, który z reguły nie odpowiada, na szczęście, na żadne zaczepki, bo tak mu podobno służbowo przykazano. Więcej jednak słyszy się utyskiwań, a nawet bezsilnego gniewu na przystankach, wśród oczekujących, kiedy przez pół godziny nie ma nieraz ani jednego potrzebnego autobusu, a potem nagle obserwuje się paradę trzech „dziewiątek”, dwu „jedenastek” i tyluż „dziesiątek”, a w dodatku czterech „jedynek” oraz zjazd „pięćdziesiątek piątek”.

Bardziej pociesnym od „Szpilek” jest w tej sytuacji szczegółowy rozkład jazdy, widoczny ostatnio na tablicach informacyjnych. Narzucono go ponoć Miejskiemu Przedsiębiorstwu Komunikacyjnemu odgórnie — mam tu na myśli nie godziny i minuty, ale konieczność podania ich do wiadomości — jest jednak widoczny dla oczu udęczonych i budzi rozgoryczenie. Mocne słowa, na tych lamach niemożliwe do powtórzenia, słyszę z ust tych, którzy raniłem podobnie jak ja nie znajdują przystankowej budki. Oglądając tylko ślad po miejscu, z którego od lat udawali się do pracy. Tymczasem „ich” autobusy śmigają przed nosem, i nieraz stają dopiero o pół kilometra dalej. Sprawczynią tej niespodzianki jest komisja działająca przy Wydziale Komuni-

kacji Urzędu Miejskiego oraz milicja drogowa. Niektóre miejsca uznano bowiem za niebezpieczne lub kłopotliwe dla ruchu. Nie zawsze są to wnioski słuszne, chociaż wypływają z zasadnych przesłanek. Bo czyż nie należało raczej przewieźć pięć wywrotek piasku i poszerzyć nieco skarpę naprzeciw stacji benzynowej przy Łęczyńskiej, przesunąć nieco w pole budkę i chodnik by znalazło się miejsce na boczny podjazd dla autobusów, zamiast likwidować przystanek w tak ważnym miejscu? Tam przelatują teraz tylko autobusy z Łęczyńskiej („jedynek”), z Mełgiewskiej („dziesiątki”) i „jedenastrka”) oraz z Turystycznej („ósemka”). Nie o taką troskę instytucjonalną chodzi społeczeństwu miasta i nie takie oszczędności winny cieszyć dyrekcję MPK! Najprostszą polityką jest likwidowanie czegoś, co jest niedoskonałe! A naprawić, poprawić sytuację? Kto ma to zrobić? Pasazerowie do tego powołani nie są.

W tej sytuacji czytelnik prasy codziennej, który jest zarazem stałym pasazerem pojazdów MPK, z niedowierzaniem czyta, że załoga tego przedsiębiorstwa co roku zdobywa ostatnio wysokie oceny w krajowym współzawodnictwie. Jakże to? W 1971 roku trzecie miejsce, a zaraz w następnym drugie? Ale i to można by jeszcze przeżyć, trudno jednak uwierzyć w I miejsce z roku 1973 i oglądać na fotografiach prasowych sztandar przechodni prezesa Rady Ministrów i przewodniczącego CRZZ. Jak więc źle jest w innych miastach, skoro u nas jest tak dobrze, a my tego nie odczuwamy? Dopiero IV miejsce za rok ubiegły może trochę uspokajać. W rzeczywistości lubelskie MPK pod względem utrzymania wysokich wskaźników techniczno-ekonomicznych oraz usługowych znajduje się jednak nadal na dobrym miejscu, więc niepokój o prawidłowość naszego rozeznania w tym, co jest dobre i sprawne, a co nim nie jest, znacznie wzrasta. Baśniowy król jest nagi, a każą nam wierzyć, że jest ubrany? Cóż to za mistyfikacja?

Co oznaczają więc owe wysokie wskaźniki techniczno-ekonomiczne, skoro do usługowych mamy aż tak wiele słusznych zastrzeżeń? Okazuje się, że są one z tymi ostatnimi ściśle związane, mają na nie wpływ, a także z nich wynikają. Jeszcze przed jedenaściami laty tabor był wykorzystany zaledwie w 48 procentach, reszta znajdowała się w naprawie lub na nią długo czekała, albo też miała przestoje na skutek złej organizacji pracy. Obecnie wskaźnik ten osiągnął 86 procent, a autobusy składające się na pozostałe 14 procent znajdują się we własnych warsztatach, albo są poddawane kapitalnym remontom w Słupsku („jelcze”) oraz w Gdyni i Elblą-



gu („sany”). W stolicy każdy kilometr daje jedynie 3,25 zł zysku, bo warszawskie MPK posiada wiele deficytowych linii zielonych, wywożących — szczególnie w soboty i niedziele — ludzi na wyraj, do lasów, nad jeziora i rzeki, a ponadto tamtejsi pasazerowie niefrasobliwie traktują obowiązek kasowania biletów. Lublin pod względem dochodowości z kilometra znajduje się w czołówce, bo zyskuje 7 złotych i 3 grosze. W tej samej czołówce znajdują się Częstochowa, Białystok, Radom i Kielce, kasują bowiem na swoją korzyść od 6,70 do 6,80 zł za tysiącmetrowy odcinek przewozu pasazerów. Im sprawniejsze więc autobusy i trolejbusy, im bardziej racjonalna organizacja i dyscyplina pracy wszystkich służb MPK, a szczególnie kierowców, oraz im większa uczciwość pasazerów lubelskich, tym lepsze efekty: jak się okazuje, czasem najlepsze w kraju. Z własnych obserwacji z

kolej noszą mniej które z miej i nie z prezen Jedn nika b jącym nie ich takiej jak wli tem pi w nien miejsc

W 36 rocznicę tragicznej śmierci Józefa Czechowicza zamieściliśmy artykuł dra Tadeusza Klaka pt. „Czechowicz a „Linia”. W dniu 6 października mija piąta rocznica śmierci Juliana Przybosa. Udokumentowany wyjątkami z listów, poniższy artykuł przedstawia wzajemne kontakty obu poetów.

MYSŁĘ, że będzie kiedyś napisana rzecz, ujmująca paralelnie lirykę dwu najlepszych poetów awangardy: Józefa Czechowicza i Juliana Przybosa. Gdyby dziś zebrać to, co powiedziano o sprawach dotyczących wzajemnych relacji obu pisarzy, przeważałyby niewątpliwie dostrzeżone między nimi różnice. Wynikały one nie tylko z odmiennych założeń awangardy krakowskiej i lubelskiej, ale — może więcej — z różnicy osobowości twórczych i ich reakcji na rzeczywistość. W znanych szkicach o autorze „nuty czołwieczej” i „Wgłęb las” Kazimierz Wyka próbował wskazać na odrębności Czechowicza od krakowskiej awangardy, głównie Przybosa. W twórczości pierwszego akcentował postawę tragiczności i pesymizmu, u drugiego widział zdobywczy optymizm, cyklopią siłę bohatera jego wierszy. Nawet jeśli muzyczność Czechowicza wyprowadzał Wyka z ducha awangardy, z linii Przybosa, to wskazywał na odmienną rozważań artystycznych:

Rzekłbym, że Czechowicz ten wzięty z Przybosa budulec obrazowy, skrzęsany i prostocenny, zanurzony w irracjonalnym duchu muzycznym, i oto prosta belka drga, wchłonięta płynnym, tuszącym się skłębem wodnym. Truda, jest, lecz przechodzą po jej powierzchni drżenia falujące i staje się nagle niematerialna, zupełnie w innym istnieniu zanurzona.

Dla mnie różnica między ich światami poetyckimi przebiega

Kamena str. 8

gdzie indziej. Czechowicz jest kreatorem swojej dziedziny lirycznej, który rzeczywistość przedstawioną — wydaje się — powołuje do istnienia magicznie działającym słowem, jak pokazał wnikliwie Jerzy Kwiatkowski — doprowadzając do metafizyki, która dla Czechowicza wiązała się nierozdzielnie z prawdziwą poezją.

Podobnie można by określać sylwetki ludzkie obu poetów. I tutaj niepodobieństwa górowałyby nad tym, co mogło im być wspólne. Przyboś narzucał swą wolę światu, był wobec niego niepodległy: zawsze trzeba umieć poddać sobie naj-

CZECHOWICZ I PRZYBOŚ

Tadeusz Klak

wem, Przyboś natomiast postępuje jako inżynier słowa, świadomy organizator swojej przestrzeni poetyckiej. Wizje pierwszego są wieloznaczne, oparte na aluzyjności niemal symbolistycznej, wizje drugiego — są sprawdzalne i wymierne. Ale — z drugiej strony — dokładniejsza analiza wykryłaby wiele pokrewieństwa między poezją Przybosa i Czechowicza, wynikających choćby z tego, iż podstawową materię wyobraźniową stanowił dla obu poetów krajobraz, a zdarzenia liryczne działy się w świecie o cechach kosmosu. To także Przybosia

bardziej nawet zalewający człowieka świat. Być zawsze centrum samostanym, nie poddać się nigdy niczemu — oto jedno z jego wyznań. Czechowicz światu się lękał, poruszał się w nim zagubiony i bezradny, poddawał mu się raczej. Zachowywał się chyba tak, jak bohater znanego wiersza Różewicza „Wyjście”:

Jestem uparty i uległy w tym uporze jak wosk tak tylko mogę odcisnąć świat

Jak właściwie mało wiemy o tym, jaki był prawdziwy stosunek obu poetów do siebie i do swoich praktyk poetyckich! Za życia nie pisali o swoich książkach, publicznie poświęcali swej twórczości najwyższej wzmianki. Co prawda Czechowicz napisał z jednego tomu Przybosa recenzję do „Drogi”, bardzo entuzjastyczną, ale Wilam Horzycza nie chciał jej wydrukować. Przyboś zostawił świadectwo wysokiego uznania dla poezji Czechowicza w ankiecie „Okolicy Poetów”, określając ją jako „świetną”. Przy surowości ocen i wymagań Przybosa znaczyło to bardzo wiele.

Po wojnie Julian Przyboś kilkakrotnie zabierał głos w sprawach Czechowicza i jego poezji, polemizując szczególnie mocno z opinią na jej temat Jana Spiewaka i Seweryna Pollaka. Jeśli ich ujęcie nie zasługiwało na pełną aprobatę, to i ze stanowiskiem Przybosa nie dąłoby się całkowicie pogodzić. Nie można by na przykład przystać na orzeczenie, iż Poezja Czechowicza nie była ani znaczącym się ze swoim czasem, nie była podjęciem żadnego z ostrych konfliktów epoki, ani też nie była zmaganiem się poety ze samym sobą. Może też więcej niż kilka li ryków, jak sadił Przyboś, pozostać po Czechowiczu, które mają perspektywę trwałego wzruszenia.

Nie chodzi mi tutaj o polemikę, która byłaby oczywiście i spóźniona, i bezprzedmiotowa. Chciałbym natomiast z dawnej wypowiedzi Przybosa o Czechowiczu wydobyć okruszek wspomnieniowy, zwizgły, ale pełen trafności w widzeniu i zapamiętaniu sylwetki autora „Żalu”. Pisał Przyboś:

Nie znalazłem, niestety, bliżej Józefa Czechowicza; dwa z nim krótkie spotkania w Warszawie, w której przed

wojną by stawiły m wieka ta oczach z ustanna wielbiący wżyscy tam — i najbardziej mo te świadczyl etyckich, z jego uciążać z mienie. O wielu ber dat sie sa w wstrach kiego.

Wspomni go osobiste tów, pozost osobiste spo nek, by zna la się w pr wicz prosił jego zachow bosia. Właś nadzieję na wzajemnych chowicz. W nia” był i wdziecznym nia i podtr mieniał list kregiem lud te wyznała rvmi nigdy kał.

Czechowicz z Przybosiem listowna w biała rytmo kunastu lat literackiej z pare listów bosia: listy cia nie miały stolarne Cze wfażczel W przesyłki w szwie.

Listy to ni mienne i wś i autora list



Fot. A. Polakowski

że jeśli lubelscy pasażerowie odgól dość miło do samych siebie, to solidni są wobec przedsiębiorstwa, a w razie wypadku powielu czasu przemieszczają nas jakoś najszybciej. MPK jest przedsiębiorstwem, a jego celem musi być dochodowy, a nie sprawić nieuczciwym nie musi. W odległości dzieląca ich od kasownika i latwa do przebycia, z urzeka-uciem proszą o przedziurkowanie. Nigdzie chyba nie można spotkać zjonowanego już tradycją obywatela, w Lublinie. Łagodność, o której przed-tychmiast zanika i przemienia się, gdy ustępuje się wygodnikiemu kasownikowi. Wielu jednak nie poczuwa

się do opłaty wcale. Istnieje też solidarne oszuka-ństwo. Mianowicie niektórzy wychodzący wypychają skasowane bilety mającym wsiadać, bo system dziurek i numeracji, w razie kontroli, jest ten sam na całej trasie. Również i MPK samo powoduje straty skoro jak mało automatów umieszcza się w pojazdach, a kierowcy i kontrolerzy tak rzadko sprawdzają sprawność kasowników.

Przez 9 miesięcy obecnego roku na własne oczy widziałem tylko dwie kontrolerki. Zwinni młodzieńcy bezkarnie uciekali im, mimo rozwartych szeroko rąk, w ciemną noc. Równocześnie kilkunastu pa-sażerów trolejbusu zasadnie tłumaczyło się kon-trolerkom, że akurat oba kasowniki są niesprawne, a działa jedynie dziurkacz nie nadający się do bi-letów na 10 przejazdów. Kobiety to rozumiały, ska-sowały za przejazd długopisem, nie pobrały man-datu, zrezygnowały z 15 złotych własnego zysku od każdego gapowicza. Zapytane potem o wszystko, co wiąże się z ich pracą, wyjaśniły mi wiele spraw. W automatach zakładana jest nocą zwykła maszy-nowa taśma do pisania. Od świtu do nocy jeździ po mieście 150 autobusów i 47 trolejbusów — jeśli wszystkie są sprawne — przewożą każdej doby około 350 000 pasażerów. Kierowcy zmieniają się około godz. 14 na trasie, do zajezdni zjeżdżają ty-lko w razie stwierdzenia niesprawności pojazdu. Ja-ka taśma wytrzyma odbijanie na niej przez 18 go-dzin biletów? W czasie kilku godzin nocnych me-chanicy zwracają przy przeglądach uwagę przede wszystkim na układ kierowniczy, hamulcowy, koła i światła. Działanie kasowników znajduje się na ostatnim miejscu ich uwagi, bo bezpieczeństwo pa-sażerów, przechodniów i kierowców nie zależy od tych maszynek.

Kierowca może zarobić od 4700 złotych do 6 000, kontroler — 2 tysiące, plus premie za mandaty. Dlatego jest ich zaledwie 20, a powinno być oko-ło 50. Każdy ze starych kontrolerów leczył się już z pobicia, niejednokrotnie był szarpany przez zbyt krewkich pasażerów, a nawet opluty.

Kadra w lubelskim MPK zdaje się być ustabilizo-wana, choć może trochę w sztuczny sposób. Kandy-daci na kierowców mogą w pół roku zdobyć I ka-tegorię prawa jazdy, ale z dopiskiem DM, dopu-szczającym zatrudnienie jedynie w autobusowej komunikacji miejskiej; zobowiązują się zresztą do co najmniej dwuletniej nienagannej pracy w MZK. Szkoleni są tzw. przyspieszonym systemem angielskim. Nie od synów Albionu jednak zaczerpnięta jest kalkulacja kosztów. Ponoć całe przeszkolenie jednego kierowcy, wliczając koszt paliwa i amortyzacji autobusów, pochłania aż 150 000 złotych. Przecież tyle kosztuje wykształcenie inżyniera, nie-co droższe tylko przygotowanie lekarza! Pozostaje faktem, że kierowców nie brakuje. Ale...

Wszyscy kierowcy przechodzą przez odpowiednie badania lekarskie, poddawani są testom psycholo-gów. W czasie moich pobytów w zajezdni MPK na Nałęczowskiej widziałem niejednokrotnie zjeżdża-jących z trasy kierowców. Jeden kierowca lubi

Dokończenie na str. 11

Historyk lubelski prof. dr Henryk Zins w tym ro-ku wyklada w Kopyatta University College w Nairo-bi, zbierając materiały do planowanej książki pt. „Od Imperium do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów”. Po-niższy tekst otrzymaliśmy z Nairobi.

WMOMBASIE, nad samym Oceanem Indyjskim, wznosi się potężna warownia, będąca przez wieki symbolem i ostoją portugalskiego władztwa na wybrzeżu Afryki Wschodniej. Ogromna konstrukcja obronna, doskona-le usytuowana, strzegła dostępu do Mombasy, będącej najważniejszym ośrodkiem politycznym i handlowym tej części Afryki. Dodatkowe zain-teresowanie dla zbudowanego przez Portugalczków pod sam koniec XVI w. Fortu Jesus budził jego architekturna, utrzymana wiernie w konwencji włoskiego Renesansu.

Jej kulturę wywierali Arabowie — chociaż nie brak było i wpływów perskich (Shirazi). Stopień islami-zacji społeczeństwa wybrzeża wscho-dnio-afrykańskiego różnił się w za-leżności od miejsca. Jako całość by-ło ono silnie zafranzuzowane na skutek licznych małżeństw miesza-nych arabiko-murzyńskich. Tę zislamizowaną ludność od dawna na-zywano Swahili, podobnie jak i jej język, będący połączeniem murzyń-skiego Bantu i języka arabskiego. Liczne i prosperujące miasta ob-szaru Swahili posiadały oligarchicz-ną strukturę społeczną, były wzajem-

FORT JESUS

Henryk Zins

Stanowi ona nieoczekiwane zasko-czenie i niespodziankę w tej części świata, wśród egzotycznego kolory-tu Wschodu, a jednocześnie mate-rialny ślad wpływów europejskiej kultury, która w niewielkim tylko na ogół stopniu towarzyszyła bez-względnej politycznej i handlowej ekspansji Europejczyków w epoce Odrodzenia.

Afryka Wschodnia, nazywana w dawnych wiekach Azania, krajem Zenji czy też wybrzeżem Swahili, od wieków była zamieszkiwana przez bardzo mieszaną pod wzglę-dem etnicznym i kulturowym lud-ność. Gdy pod koniec XV w. przy-był tam Vasco da Gama, to mógł stwierdzić, że był to kraj stojący na wysokim poziomie cywilizacyjnym, znajdujący się pod wpływem osad-nictwa arabskiego i afro-arabskie-go. Wśród licznych na wybrzeżu wschodnio-afrykańskim miast do największego znaczenia doszły: Mombasa, Malindi, Kilwa, Pate, a dalej Gedi, Mozambik, Kilifi i So-fala. Ich ludność była zplekciem Hamitów, Bantu, Arabów, Persów i Hindusów, decydujący wpływ na

nie skłócone i bogaciły się na szero-roko rozwiniętym handlu międzyna-rodowym. Ich mieszkańcy handlo-wali głównie murzyńskimi niewol-nikami, kością słoniową i złotem, u-żywając w stosunkach z ludnością murzyńską takich środków płatni-czych jak sznurki korali i białej bawelnyj odzież.

Najbardziej na południe położo-nym ważnym centrum obszaru han-dlowego regionu Oceanu Indyjskie-go była Mombasa, najzamożniejsze miasto wybrzeża Wschodniej Afry-ki. Na początku XVI w. opisywano ją jako „bardzo piękną miejscowość, posiadającą wysokie kamienne i tynkowane domy”. Zamożniejsze ro-dziny mieszkaly w okazałych do-mach, posiadających bogato rzeźbio-ne drewniane bramy, stanowiące charakterystyczną cechę dawnej kul-tury Swahili. Port Mombasy zawsze pełen statków, przybywających z Sofali, Zanzibaru czy odległych stron. Mombasa utrzymywała rów-nież ożywiony handel ze stałym ła-

Dokończenie na str. 11

za tym listy Czechowicza pochodzą z okresów o szczególnych znamio-nach i dotyczą spraw dosyć — jak się okaże — węzłowych.

Pierwszy z zachowanych listów pochodzi z 5 XII 1930 roku. Cze-chowicz miał już z sobą prawie trzymiesięczny pobyt we Francji, gdzie nawiązał osobisty kontakt z Janem Brzuskim, a w jego piś-mie „L'Art Contemporain” drukował wiersz pt. „Śmierć”, tam też uka-zała się reklama jego nowo wyda-nej książki „dzień jak codzień”. To go zbliżyło jeszcze bardziej do awangardy krakowskiej, choć zbli-żenie to zaznaczyło się już w okre-sie, kiedy ukazywał się „Reflektor”. Dzięki temu, gdy zaczęła dojrzawać myśl o powołaniu wspólnego pisma awangardy, Czechowicz był od po-czątku brany pod uwagę jako jeden z jego współtwórców. O tych sprawach pisałem niedawno na tych łamach w szkicu „Czechowicz a «Linia»”. Wspomniany list do Przybosa o tym właśnie epizodzie mówi:

Stanowony Panie!

Wiadomości o nowym piśmie uzy-skane od Pana i J. Brzuskowskiego przysłałem z entuzjazmem. Z groma-dzeniem funduszu jest u mnie nie-co gorzej, bo chociaż jestem redaktorem dziennika dość dużego, to na skutek fatalnego zadłużenia tego pi-sma nie mogę wybić na 5-10 złotych dziennie i to bardzo utrudnia sprawę. Nie wiem, czy będę mógł regularnie po 10 zł płacić. W każdym razie razie tego świata będę miał możność upłacenia jednorazowo 100 złotych na konto PKO (tekst od Brzuskowskiego otrzymałem), a po Nowym Roku, zdane się, będzie łatwiej.

„L'Art Contemporain” nr 3 nie otrzymałem.

„Reflektor” załatwił się w najbliż-szych dniach.

Co do książek, chciałem Panu wnieść swoje, prosząc w zamian o „Srubę”. Czy nie wie Pan wypadkiem, co się dzieje z Wazukiem? I czy będzie on z tym nowym piśmie? Proszę o pa-mięć i przyjazd.

J. Czechowicz

Lublin 5.12.1930r.

„Srub” jednak Czechowicz wte-dy nie otrzymał, kontakty obu po-ętów zostały przerwane na kilka lat. Wydaje się, że momentem de-cydującym były nieporozumienia z „Linia”, z którą Czechowicz bar-dzo pragnął się związać, a do czego jednak nie doszło. Odsunięcie się od awangardy krakowskiej kom-pensował Czechowicz intensywną działalnością na forum Związku Li-teratów w Lublinie, którego był współzałożycielem, a następnie na terenie Warszawy, gdzie przeniósł się latem 1933 roku. Tam właśnie zaczął przejmować w swe ręce inicjatywę jeśli chodzi o koordynację poczynań awangardy, które zaczęły się coraz bardziej rozpraszać i za-mierać. Najbardziej znanym i głoś-nym przejawem tych usiłowań Czechowicza był „Najazd Awangar-dy na Warszawę”, zorganizowany w marcu 1934 roku. Po raz pierw-szy i jedyny spotkali się wtedy przedstawiciele wszystkich środo-wisk awangardowych (Kraków, Lu-blin, Wilno, Warszawę reprezento-wał jedynie Adam Ważyk), narodzi-ło się przy tej okazji sporo róż-nych projektów i pomysłów — cza-sopism, spotkań, posunięć organiza-cyjnych itp. Tych spraw dotyczy drugi list Czechowicza do Przybo-sia, pisany wkrótce po „Najazdzie”:

19.III.1934

Drogi Panie!

Serduszkiem dziękuję za „Srubę” i wiersz do „Sygnałów”. Myśl Pańska o utworzeniu ośrodka propagandowe-go trafia na dobrą grunt, bo jeszcze to jest ten r. ub., gdy Łobodowski był w Warszawie, omawialiśmy potrzebę tego rodzaju akcii.

Jedną tylko zastrzeżenie: literaci są ogólnie nieorganizowani elemen-tem i formowanie specjalnego emit-tetu zachodziłoby nas do niemiłych scen. Wiem co o tym z własnego doświadczenia. Dlatego użyłbym drogiego prosisz. Po prostu kwatera głowa; może mieszkanie, a prace na moich barkach z pomocą techniczną

któregoś z młodszych kolegów (Do-miński czy Piatak). Oto wszystko. Przed wakacjami postanowiłem cykl artykułów informacyjnych o poetach awangardy, przeprowadzić ów swoisty konkurs z 3 wierszami i małą ankietę na temat psychologii twórczości. Przystępuję do prac wstępnych nad przeobrażeniem „Zagarów” w pismo ogólnopolskie, z wolnym oddechem. Przekonałem się bowiem, że „Pion” skazany jest na dychawiczny tuwot szkapu ujętanej przez Skłuskiego i Pomirrowskiego. Flukowski — hm — podobno ma ostatnio napisane niezłe wiersze. Myślę, że ta rzecz się wyklaruje. Zaprosłem go do owego „konkursu”.
Serduszny uścisk dłoni
J. Czechowicz

Nie z tych zamiarów nie wyszło. Nie udało się Czechowiczowi zebrać materiału do kolumny awangardy w „Sygnałach” lwowskich, turniej poetycki na utwory o trzech pre-tekstach tematycznych: Głód, Sen, Odkrycie, nie powiódł się to kon-kursie tym pisałem szerzej przy okazji opublikowania listów Cze-chowicza do Tadeusza Hollendra — „Poezja” 1968, nr 10), upadły centralistyczne zamierzenia poety. Przybos także nie wziął udziału w konkursie; indagowany przeze mnie o te sprawy po latach, odpowie-dział mi: Nie odpisałem wcale, bo sam pomysł wydawał mi się nie do przyjęcia. Nie napisałem w ży-ciu ani jednego wiersza na z góry wiedziany temat; wiersze wyrabiają się we mnie długo i dokładnie nig-dy nie wiem, jaki będą miały kształt ostateczny, co więc będą mówił.

We wspomnianym liście Przybos podjął także sprawę, która przy pa-ru okazjach już omawiano, miano-wicie współzawodnictwa o przy-wództwo awangardy. Czechowiczowi takie miano na pewno pochle-biało (nie wiem, czy do Lwowa do-tarło powiadzenie, że Przybos jest papieżem awangardy, a Czechowicz cesarzem — pisał żartobliwie do Hollendra), natomiast Przybosowi

myśli o dominacji w awangardzie były całkowicie obce. Toteż w liście do mnie pokpiwał z uroszczeń Czechowicza:

Ktoś by przypuszczał, że w pe-nej chwili poderwał się i zaczął sobie rucić, że jest wodzem awangar-dy — rozszalał wokół jakby uni-wersały z tematami do obróbki, za-mierzając najechać i zdobyć Lwów! Ja — nigdy nie miałem ambicji przewodzenia, nie kaptowałem za-bie młodszych, wolałem raczej (po-za krótkim okresem „Zurawicy”) być sam — i na własną odpowiedzialność kląć się ze wszystki-mi [...]

Wiosną 1934 roku Czechowicz za-prosił Przybosa do współpracy w powoływany właśnie „Miesięczni-ku Literatury i Sztuki”, którego zos-tał redaktorem naczelnym. Przybos chyba na to zaproszenie nie za-regaował. Po roku otrzymał znowu list w tej sprawie, choć przy okazji Czechowicz poruszył kilka aktual-nych spraw. Pisał w nim:

Stanowony Panie!
Bardzo dawno nie komunikowałem się z Panem. Ale czytalem polemiki Pańskie w „Pionie” i w „Gazecie Artystów”, czułem też i dotknęły piękności wiersz — ten o zrebkach, wodach, stumach.

Tak mi się układa robota, że w jesieni nie będę w Warszawie, nie-bie czego teraz już przysłałem materiału do pierwszego numeracyj-nego numeru „Miesięcznika Litera-tury i Sztuki”.

Proszę, niech Pan przysła mi do tego nowego pisma nowy wiersz. Bardzo proszę. Niech Pan nie od-streca portm pisma. Ono na ra-zie musi być takie, jakie jest. Nie-mię się po temu niecierpię, boham szczerze rucić, aduby Pan też chciał przysłać z wierszem.

Robiłem też (chciał) w „Miesięcz-niku” zamierzeniem rozpracować od-wymaganych przedmiotów nowej aktu-

Dokończenie na str. 10

I dlatego już na VI Zjeździe Partii powiedziano, że nasz plan dynamicznego rozwoju kraju jest planem otwartym. I takim był o czym dziś wiemy już dokładnie. Pierwszy plan pięcioletni otwarty w górę, pierwszy plan pięcioletni, w którym niczego nie korygowano w dół, nawet napiętego przecież planu inwestycyjnego. I taki sam charakter posiada plan na lata 1976—1980, który właśnie powstaje, a dla którego Wytyczne uchwalono niedawno XVIII Plenum KC PZPR.

Z tej właśnie otwartości planu wynika apel, wystosowany do wszystkich ludzi pracy przez I sekretarza KC PZPR o podjęcie dyskusji nad nim, o wprowadzenie do niego nowych wartości, opartych zarówno na zwiększającym się szybko potencjale wytwórczym, jak również lepszej organizacji pracy, większym wykorzystaniu czasu pracy — w ogóle lepszej efektywności gospodarowania. Temu celowi służy również kończąca się właśnie przegląd dyscypliny pracy, która wciąż jeszcze na różnych odcinkach kuleje.

Dyskutując nad Wytycznymi na VII Zjazd PZPR, słusznie będziemy podkreślali osiągnięcia, wskazywali na najlepsze przedsiębiorstwa i instytucje, na przodujących ludzi. Ale dyskusja polega również, a czasem

Oto podany na początku przykład marnotrawienia czasu przybiera bardzo różne formy. Wielkim osiągnięciem społecznym było przyznanie wszystkim pracownikom stuprocentowego zasiłku chorobowego. Okazało się jednak, że znaleźli się ludzie, którzy nadużywają tej zdobyczy, w ten czy inny sposób wydłużając zwolnienia lekarskie. Absencja chorobowa w ostatnich miesiącach w wielu przypadkach przekroczyła najwyższe wskaźniki z okresu np. epidemii grypy, chociaż żadnych epidemii teraz nie było. Nic więc dziwnego, że w niektórych zakładach pracy, jak np. w lubelskiej FSC czy Zamojskich Fabrykach Me-

stycji w woj. lubelskim, zaliczonych do ważnych dla gospodarki narodowej i dla gospodarki województwa, wynosi 10 miliardów i 219 milionów złotych, ale roboty budowlano-montażowe będą kosztowały tylko niecałe 2 miliardy złotych. Znaczący to, że — przeciętnie licząc — każdemu z pracujących państwo powierzy dodatkowo majątek produkcyjny wartości kilku tysięcy złotych, niezależnie od już posiadanego, dużo przecież wyższego. Maszyny i technologie starszeją się znacznie szybciej niż ludzie i mury. Jeżeli nie będą wykorzystane do produkcji, do pomnażania naszego majątku, i tak będą musiały pójść na szmelc.

W latach 1971—1980 dokonamy wielkiego postępu w budowaniu zamocności naszego społeczeństwa. Funduszu społecznego będzie dwukrotnie, a przychody pieniężne ludności powiększą się o 2,7 raza. Osiągnięciem bez precedensu będzie uzyskanie w ciągu dziesięciolecia wzrostu płac realnych o ok. 62—65 proc. Ponad trzykrotnie powiększą się świadczenia społeczne, wydatki na wzrost dochodów rolników indywidualnych i członków spółdzielni produkcyjnych (...). Szczególne znaczenie dla poprawy warunków życia ludności mieć będzie wybudowanie ponad 2,5 mln mieszkań przy jednoczesnym wzroście ich metrażu i podniesieniu standardu.

Z Wytycznych Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR.

CENA CZASU

bli, wysuwa się różne projekty, zmierzające do ograniczenia możliwości nadużywania prawa do pełnej wysokości zasiłków.

Jak słusznie ktoś powiedział, „choroba” — ta w cudzysłowie — nie może się opłacać. A zbyt często opłaca się kosztem zarówno całej gospodarki, jak i najbliższych współtowarzyszy pracy. Jeżeli bowiem, w sumie, przekraczamy plany, to znaczy, że jedni wykonują nie tylko swoją pracę, ale i odrabiają to, czego nie zrobili inni. Zapominamy też często, że dzisiaj każda stracona godzina pracy to nie to samo, co pięć czy dziesięć lat temu. Nasze stanowiska pracy w olbrzymiej większości wyposażone są obecnie w najbardziej nowoczesne maszyny, pracujemy według najnowszych technologii.

Nie jest to slogan. W poprzednich pięcioletkach w nakładach inwestycyjnych koszty robót budowlano-montażowych wynosiły mniej więcej połowę kosztów ogólnych. Oznaczało to, że połowę środków pchaliśmy w mury, które wprawdzie były potrzebne, ale przecież nie wpływały bezpośrednio na wysokość i jakość produkcji. W tej chwili ogólna wartość kosztorysa inwe-

Każda godzina ich przestoju to coraz większa strata każdego z nas. Czy zawsze i wszędzie o tym pamiętamy?

Jeżeli już mowa o inwestycjach, chciałbym zwrócić uwagę na bardzo nierównomierne działanie nasze w tej dziedzinie. Oto na jednych budowach zadania przekraczamy kilkakrotnie, na innych wykonujemy tylko ich część. Np. roboty budowlane wytwórni wodoru w Zakładach Azotowych w Puławach w ciągu ośmiu miesięcy roku bieżącego zostały wykonane w 334 proc. planu rocznego, w tamtejszej wytwórni melaminy — w 248 proc., natomiast budowa kuźni odkuwek ciężkich w FSC „szczyli” się zaledwie 22 procentami. Oczyszczalnia ścieków w Puławach — 98 proc., oczyszczalnia w Lublinie — 27 proc. A jedyna duża inwestycja o charakterze kulturalnym, teatr dramatyczny w Lublinie — tylko 17,6 proc.

Naturalnie zainteresowani znajdują w każdym przypadku tysiąc usprawiedliwień, czasem nawet rzeczywiście obiektywnych. Ale mnie nie chodzi o wskazywanie palcem, że tu jest dobrze, a tu źle. Od tego są odpowiedzialni władze i one takiej oceny już dokonały. Jestem przekonany, że

w tych opóźnionych inwestycjach na których z etapów został popełniony jakiś poważny błąd — w programowaniu, przygotowaniu dokumentacji, zamówieniach materiałowych, koordynacji robót, organizacji pracy takiej czy innej komórki itp. Wszystkim nam zależy na tym, aby każda inwestycja została oddana jeżeli nie przed terminem, to w terminie z góry wyznaczonym. Nie jest dobrze, gdy jedne rozpoczynają produkcję znacznie wcześniej, inne z dużym opóźnieniem. Być może uda się te rzeczy zbilansować na papierze i wyliczyć, że wartość nadwyżek pokryła wartość strat. Ale to nie zmienia faktu, że jakichś tam produktów, z tych opóźnionych inwestycji, nie otrzyma na czas rynek wewnętrzny, eksport, kooperant czy inna inwestycja. Gospodarka narodowa nie składa się z poszczególnych fragmentów, ale całościowego mechanizmu, który nie może prawidłowo funkcjonować, jeżeli jedno czy drugie kółko trać wyznaczony mu rytm.

Prawidłowe i terminowe przygotowanie inwestycji, a następnie sprawne jej realizowanie i osiąganie w wyznaczonym czasie pełnej zdolności produkcyjnej to są sprawy, z którymi nie zdołaliśmy się jeszcze uporać. Prawda, że dziś jest znacznie lepiej niż przed laty dziesięć, że wiele najważniejszych dla gospodarki narodowej obiektów potrafimy przekazać do użytku wiele miesięcy przed terminem. Ale prawdą jest również, że niektóre z obiektów

W 1980 r. dochód narodowy wytworzony będzie ponad 2,3 razy większy niż w 1970 r. Podstawą tego wzrostu będzie ponad 2,3-krotny wzrost produkcji przemysłowej oraz 1,5-krotny wzrost produkcji rolniczej. Rozwój produkcji materialnej oparty będzie głównie o podwojony w tym okresie majątek trwały gospodarki narodowej oraz ponad dwukrotny wzrost wydajności pracy.

Z Wytycznych Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR

przede wszystkim, na mówieniu o błędach i niedociągnięciach, o hamulcach obiektywnych i subiektywnych, skracających nasz krok naprzód, pomniejszających nasze efekty. Niestety, zjawisk takich jest zbyt dużo, aby przechodzić obok nich obojętnie.

CZECHOWICZ I PRZYBOS

Dokończenie ze str. 9

ki obcej: francuskiej, angielskiej, niemieckiej.

Chorowałem ciężko. Operacja w szpitalu to ponura rzecz dla tak nerwowego jak ja osobnika.

Praca nad poematami ma się ku końcowi. W jesieni zamierzam wydać wiersze zebrane, jak Ważyk.

Co Pan myśli o J. Zagórskim?

Czy czytał Pan wiersze młodego lwowianina, Rogozińskiego? Czy zgodził się Pan na opinię: Zawodniczek należałoby być i zinną wodą polewać za „teatryzowaniem”.

Martwi mnie Stanisław Pięta. On w ogóle rolnie ciężko i w jakiś chory sposób. A ostatnio jest dziki, samotny, przynębiany.

Jak się Pan ustosunkowuje do „Parafii Poetów”? To podobno ksiądz mecenas subydiuje... Zamierzam im coś dać.

Serdeczny uścisk dłoni

J. Czechowicz

W-104 W-104

Dobra 6 21 IV

m. 22 1975

Kamena str. 10

szowski miesięcznik Stanisława Czernika.

A oto list ostatni:

Drogi Panie!

21.I.1975 r.

Mile wspominać naszą ostatnią rozmowę przy stoliku w cukierence i wspominając piasek.

Po pierwsze: korekta. Okropnie mnie trytuje ten „Arkusz poetycki”, bo wygląda nieco inaczej zewnątrz, niż to sobie wyobrażałem. Papier naturalnie będzie o wiele lepszy, natomiast format ma pozostać ten sam, a uważam go za „rozciągnięty” i ohydny.

Zwracając korektę niech Pan będzie łaskawo przesłać ją bezpośrednio Sztajnsbergowi (F. Hoesicka, Senatorska 22).

Czy pozwolił mi Pan wydrukować jeden ze swoich wierszy z tegoż cyklu pt. „Nad brzegiem”, w piśmie, które organizuję? Nazywa się to „Pióro”, ma się ukazywać raz na kwartał i to tylko po to, aby głosić przeciwstawienie się naturalizmowi. Słowem front [anty] naturalistyczny.

Po drugie: jaki jest pański dokładniejszy adres?

Po trzecie: pozdrawiam Pana, którą miatem przyjemność poznać.

Po czwarte: jak się Panu Cieszyń podoba po Parisu? Czy nie ma Pan wypadkiem czegoś w rodzaju sensacji pozostających po przeplotu?

Serdeczny uścisk dłoni

własnej i Piętaka

przesła

J. Czechowicz

Warszawa, ul. Narbutta 11-a.

Czechowicz napomknął tutaj o dwu ważnych dla awangardy przedsięwzięciach. Pierwszym było wydanie pod firmą F. Hoesicka „Arkuszy poetyckich”, których projekt wysunął Jan Brzękowski, a zrealizował właśnie Czechowicz. Do wybuchu wojny ukazało się ich dwanaście i prawie wszystkie poświęcone były poetom awangardy — od Przybosia do Zbigniewa Bieńkowskiego. Właśnie Julian Przyboś otwierał całą serię arkuszy, co sta-

nowiło akceptację jego pierwszeństwa w awangardzie.

Tekst listu Czechowicza ważny jest jeszcze przez to, że sygnalizuje moment powstawania kwartalnika „Pióro”, założonego przez autora „nuty człowieczej” i Ludwika Frydego. Kwartalnik miał wyrażać program tzw. „poezji czystej”, sformułowany przez Frydego, którego elementy zawierały się także we wcześniejszych wypowiedziach Czechowicza. Nie wiadomo, jak Przyboś zareagował na to zaproszenie, bowiem w tym czasie Brzękowski organizował w Warszawie czasopismo „Meta”, kontynuując założenia awangardy krakowskiej, a skierowane jednym z ostrzy przeciw Czechowiczowi i poetom wileńskim. Ponieważ pismo to nie wyszło ze sfery projektów, jego materiały zostały przekazane w ręce Frydego dla „Pióra”. Tą drogą znalazły się w tym piśmie także teksty Przybosia.

Autor „Równania serca” intensywnie z „Piórem” współpracował, zapowiadał utwory do następnych numerów, choć w tych sprawach korespondował już z nim Fryde a nie Czechowicz. Ale były to kroki z nim uzgodnione. W ten sposób Czechowicz zdołał scalić ponownie wszystkie nurty ruchu awangardowego, wzbogacając go o wewnętrzne dynamiczne napięcia. Połączenie przeciwności nie oznaczało bowiem ich zniesienia. W końcu najważniejsza była poezja: wzajemne niepodobieństwo liryki Przybosia i Czechowicza, stanowiące o bogactwie poezji polskiej okresu międzywojennego.

Tadeusz Klak

Autografy drukowanych listów Czechowicza znajdują się w zbiorach Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie.

FORT JESUS

przekazujemy w terminach opóźnionych o wiele tygodni, a nawet miesięcy. Bywa, że oddając obiekty w terminie, robimy to kosztem nie tylko dodatkowego wysiłku, ale również dodatkowych kosztów, które powstają w wyniku tzw. szturmu-wszczyzny — co nie ma nic wspólnego z prawidłowo prowadzoną koncentracją robót. To właśnie na wielu naszych budowach widoczna jest wciąż jeszcze zła organizacja pracy, następująca zahamowania w wyniku złej koordynacji pomiędzy poszczególnymi wykonawcami, a także źle skoordynowanymi dostawami maszyn i urządzeń produkcyjnych.

Nasze budownictwo — myślę tu o województwach lubelskim, białostockim, chełmskim i zamojskim, ma za sobą wiele sukcesów i najczęściej dają sobie radę z bardzo szybko wzrastającymi planami. Ale nie zawsze i nie wszędzie. A ponieważ inwestycje decydują o dalszym rozwoju naszych sił wytwórczych jak i naszych warunkach socjalno-bytowych, tym sprawom należy u nas poświęcić szczególną uwagę. I rzeczywiście skończyć z przysłówowym już „zaczepianiem się o plan”. Bo robi się to niby w interesie województwa, a przecież z końcową stratą i dla województwa i dla całej gospodarki narodowej.

Zacząłem od przykładu o nieoszacowaniu czasu klienta. Czasu, który jest naszym wspólnym najcenniejszym kapitałem. Idealnie równym u każdego — 24 godziny na dobę i ani sekundy mniej czy więcej. Jedni ten czas wykorzystują rzetelnie i na pracę i na sprawy osobiste, inni myślą tylko o sprawach osobistych, jeszcze inni marnotrawią ten czas wskutek nieudolności lub złej organizacji pracy. Czas szybko ucieka, a efekty nawet jeżeli nie są mniejsze od planowanych, to są mniejsze od faktycznie możliwych. Otwarty plan bieżącej i przyszłej pięcioletki sprawia, że każdy z nas może do tego planu włączyć swój dodatkowy wkład. Pod warunkiem, że potrafimy ten czas zawsze dobrze wykorzystać. I tego powinniśmy się uczyć wszyscy już od dzisiaj. To na I Krajowej Konferencji Partyjnej sformułowano wezwanie: równać nie do średnich, ale do najlepszych. Każdego dnia jest ono coraz bardziej aktualne.

Jerzy Dostatni

dem afrykańskim, skąd otrzymywała kość słoniową, wosk, miód czy niewolników, co zanotował na początku XVI w. kronikarz Duarte Barbosa.

Portugalską ekspansję na wybrzeżu Swahili ułatwiły znacznie wojny i spory toczące przez położone tam miasta-państwa, zwłaszcza pomiędzy Mombasą a Malindi. Warto wspomnieć, że to właśnie szejki Malindi okazały pomoc wyprawie Vasco da Gamy, otwierającej pod sam koniec XV w. okres władztwa portugalskiego w Afryce Wschodniej. Również i w późniejszym okresie Malindi opowiadało się nieraz po stronie Portugalii, uzyskując korzyści z tego rodzaju polityki i wsparcie Portugalii. Mombasa natomiast stanowiła ośrodek oporu przeciwko Portugalcom i niejednokrotnie była przez nich zdobywana i lupiona w XVI w. (np. w 1565 czy w 1529 r.). Stopniowo Portugalczycy rozciągnęli jednak swoje wpływy na całe wybrzeże Swahili, chociaż aż do czasu wzniesienia pod koniec XVI w. Fortu Jesus potęgą ich w tym regionie miała jedynie charakter morski i była oparta na kontroli handlowej na ogromnym obszarze Oceanu Indyjskiego pomiędzy Afryką a Indiami i Chinami.

Przewaga morską Portugalczyców na Oceanie Indyjskim ugruntowana została ich zwycięstwem nad flotą egipską w 1506 r. Rozwój potęgi morskiej Turków Otomańskich, po podboju przez nich egipskich Mameluków w 1517 r., był w poważnym stopniu hamowany brakiem na wybrzeżach Morza Czerwonego oraz Zatoki Perskiej potrzebnego do budowy floty drewna. Statki floty arabskiej budowane były z drzewa rosnącego w Afryce Wschodniej lub na wybrzeżu Indii. Władcy z rodu Mameluków i Ottomanów musieli drewno sprowadzać ładem z lasów Taurus, co było niezmiernie kosztowne i trudne. Ponadto nieliczne zresztą operacje morskie Turków na Oceanie Indyjskim w XVI w. kończyły się z reguły ich klęską.

Mimo swojej przewagi morskiej na Oceanie Indyjskim, Portugalczycy z niepokojem śledzili wieści o planowanych akcjach morskich Turków, a zwłaszcza o pertraktacjach jakie mieli oni prowadzić rzekomo z szejkami wybrzeża Swahili w celu zrządzenia jarmazu portugalskiego. W 1585 r. doszło istotnie do wyprawy tureckiego wodza Mira Ali Beya na

wybrzeże Afryki Wschodniej, gdzie spotkał się on z poparciem tamtejszych miast, z wyjątkiem wiernego Portugalii miasta Malindi. W odwet za to Portugalczycy zniszczyli w 1587 r. miasta Swahili. W 1588 r. Mir Ali Bey nalechał ponownie wybrzeże Afryki Wschodniej i tylko równoczesny napad ludożerców Zimba przerwał działania wojenne portugalsko-tureckie w tym regionie.

Wkrótce po tym Portugalczycy powzięli plan zbudowania w Mombasie potężnej warowni, która strzełaby skutecznie ich wpływy we Wschodniej Afryce. W styczniu 1591 r. rząd portugalski wydał w związku z tym odpowiednie zarządzenia, a na konstruktora fortu uatrzono włoskiego architekta Giovanni Battiste Cairato, związanego dawniej z Mediolanem, Piacenzą i Zakonem św. Jerzego na Malcie, gdzie prowadził on różne prace fortyfikacyjne i zyskał szeroką sławę. Na zaproszenie Filipa II przybył on w 1577 r. do Hiszpanii, by w 1583 r. zostać głównym architektem portugalskim na Wschodzie. W 1593 r. rozpoczęto pod jego nadzorem budowę Fortu Jesus w Mombasie. Plan fortu jest jego dziełem.

Budowa zajęła wiele lat mimo pomocy żołnierzy i oficerów portugalskich oraz króla Malindi, który dostarczał materiału budowlanego. Na rzecz szybkiego ukończenia budowy interweniowali portugalscy osadnicy Mombasy oraz dwór w Lizbonie, zaniepokojony rosnącymi kosztami budowy oraz pogłoskami o nadużyciach finansowych. Lizbona niejednokrotnie upominała się o dokładne rachunki i szczegółowe sprawozdania na temat kosztów związanych ze wznoszeniem potężnej warowni.

Fort Jesus spełniał nie tylko ważną rolę strategiczną i militarną, ale posiadał również istotne znaczenie jako ośrodek administracyjny. Był on siedzibą „Kapitana wybrzeża Malindi i fortu Mombasy”, mianowanego przez dwór portugalski na okres 3 lat. Podlegli mu urzędnicy znajdowali się też w ważniejszych ośrodkach wybrzeża Swahili, np. w Kiliwa, Pemba, Mafia, Zanzibar Lamu czy Pate. Kapitan portugalski kontrolował cały handel pomiędzy Indiami i Mozambikiem a

Afryką Wschodnią. Wszystkie statki musiały zawijać do Mombasy i płacić tam 6-procentowe cło, a ponadto jeszcze 1% na rzecz budowy Fortu Jesus. Jedną trzecią dochodów z cła otrzymywał przejściowo sultan Malindi w nagrodę za okazaną wierność. Kapitan fortu miał też dbać o to, by żadne towary nie były z Afryki Wschodniej eksportowane na obszar wrogiej Portugalii, zwłaszcza na tereny znajdujące się pod kontrolą turecką (w rzeczywistości przepis ten nie był przestrzegany i w zamian za osobiste korzyści kapitan fortu godził się nieraz na wywóz do portów Morza Czerwonego drewna oraz innych surowców potrzebnych do budowy statków).

Fort Jesus jest dobrze zachowanym przykładem włoskiej architektury obronnej epoki Renesansu. Plan fortu wyrasta z renesansowych poglądów na budowę fortyfikacji, reprezentowanych przez artystów włoskich. Jest to koncepcja antropomorficzna, nawiązująca do ideału proporcji ciała ludzkiego: na prostokątnym planie budowli narożne bastiony przypominają ręce i nogi człowieka. Bastiony te stanowiły osłonę dla artylerii, która kontrolowała skutecznie dostęp do Mombasy. W tych warunkach niewielka sto sunkowa załoga fortu (ok. 100 żołnierzy) była w stanie stawiać opór znacznym siłom wroga. O znaczeniu militarnym fortu świadczy zaś fakt, że tylko raz, w 1631 r. i to podstępem, został on zajęty przez napastników w okresie panowania portugalskiego w Afryce Wschodniej.

W XVIII w. Fort Jesus nie spełniał już żadnej roli wojskowej i popadł w ruinę. Poważne szkody wyrządziły mu brytyjskie działa w czasie ataku statków angielskich na fort w 1875 r. Po przejściu Kenii pod władzę brytyjską w 1895 r. fort został zamieniony na więzienie. Dzisiaj stanowi atrakcję turystyczną oraz interesujący zabytek renesansowego budownictwa obronnego na Wybrzeżu Afryki Wschodniej. Pewne arabskie „wkręty” architektoniczne dodają mu smaku orientального, który nie narusza jednak zasadniczej konstrukcji renesansowej, tak niezwyklej w tej odległej części świata.

Henryk Zins

NA GAZIE I HAMULCACH

Dokończenie ze str. 8-9

tw. hamulce ostre, inny woli bardziej umiarkowane, a jeszcze innemu nie pasują biegi. Ci którzy na przemian prowadzą każdej doby ten sam autobus, dobierają się według temperamentów i upodobań. Są jednak urlopy, choroby a więc i nagłe zastępstwa, są też kierowcy nowi, albo znajdują się w sąsiednim domu na śniadanku lub składa wizytę. Trzeba go stamtąd wypłoszyć, ale tymczasem na przystanku... itd. Istnieją jeszcze cwaniacy szczytowi. O poranku oraz we wczesnych godzinach popołudniowych, a więc w godzinach szczytu, wyjeżdżają oni na ulice Lublina, aby dopomóc tzw. autobusom całodziennym. Często jednak czują się w odpowiedniej odległości za tym samym numerem, byle tylko zabrać jak najmniej pasażerów. A winni siedzieć niemal na zderzakach swojego kolegi, a przede wszystkim go wyprowadzić i zabrać nadmiar pasażerów. Oto jak człowiek człowiekowi pomaga! Nie on zapewne są głównym członkiem załogi, ale że o niej kształtują ujemną opinię, to pewnie.

Dotąd szukałem przyczyn naszych cierpień w ludziach, w ich poczynaniach, decyzjach oraz stosunku do obowiązków. Czas odpowiedzieć na pytania dotyczące stanu pojazdów. Od czasu do czasu widzi się niby normalny, ale przecież żalony

widok na lubelskiej ulicy. Pogotowie techniczne ciągnie trolejbus z oklapniętymi na dach palakami, ciągnie zepsuty autobus, którego mechaniczne konie straciły siłę. Niejeden z autobusów, którymi jeździmy, wlecz się, bo wlecz, kolejne naprawy i kapitalne remonty go ratują, ale nie na długo, jego żywot przedłuża się w sposób sztuczny i nie wskazany. Obecnie mamy już o 18 autobusów mniej niż na ubiegłego Sylwestra, aktualnie zakłada się, że co miesiąc ubędzie ich około 6, a nie przybędzie żaden. W roku przyszłym wszystkie miasta Lubelszczyzny, w starych granicach, mogą spodziewać się 50 „autosanów”. Ile przypadnie na Lublin? Dyrektor Lubelskiego MPK, Zdzisław Różycki, ręk bezradnie w tej sytuacji przed reporterem nie rozkłada, ale optymizmu zaprezentować nie jest w stanie. Może późną jesienią nadejdą 3 trolejbusy, w roku przyszłym Związek Radziecki dostarczy ich w III kwartale 25; w latach następnych dostawy będą liczniejsze i bardziej systematyczne. Może więc już po 2 latach uda się uruchomić nową linię z LSM do FSC, dać więcej trolejbusów na już istniejące, rozwiązać problemy związane z budującym się Czechowem. Dodatkowych autobusów dla miasta nie potrafi obiecać nawet wicepremier.

— Z tą kadraj musimy i pragniemy sprostać potrzebom miasta — mówi dyrektor — chcemy zwiększyć kulturę obsługi pasażerów, zyskać wyższą ocenę społeczeństwa. Pewien ideał można by osiągnąć, gdyby na każdy tysiąc mieszkańców posiadać 2,5 pojazdu, tymczasem mamy tylko 1,2; a i ten wskaźnik obecnie nam się obniża.

Smutek ogarnia i obawa o losy komunikacji w Lublinie. Zajeżdżnia, oddana przed dwunastu laty, obliczona była na 100 jednostek, a już teraz mieścić musi i obsługiwać 280 pojazdów. Modernizacja nie daje rekołmi poprawy, przewidziany jest nowy i większy obiekt. Cóż, kiedy tzw. portfel zleceń budowlanych nie może pomieścić już od lat tego akurat zlecenia. Tymczasem miasto się rozrasta, zadania przewozowe będą jeszcze większe. Co to będzie, co to będzie!? Należałoby w tej sytuacji naciskać na gaz, a tymczasem zaciskają się hamulce.

Rzecz więc nadal pozostaje w dzielności, pracowitości oraz właściwym podejściu do pracy ludzi za kierownicy i w warsztatach, w mądrzejszej organizacji ich pracy.

Chciałoby się, mimo tej sytuacji, wolać o linie pospieszne. Zwolenników jest wielu ale co ostrożniejsi krzyczą, że będzie to nie demokratyczne, gdy z tego samego przystanku jechalby szybciej i wygodniej ci, których stać na to, aby płacić za bilet więcej, a inni musieliby obyć się smakiem. Czyż jednak takie same uczucia żywymy do tych, którzy spieszą się taksówkami?

A może przydałoby się linia „0”, która mimo niedogodnego układu urbanistycznego mogłaby jednak okrążyć sporą część miasta, likwidując część przesiadek? Namalaska pospiesznych autobusów staną się na razie mikrobusy. MPK otrzyma ich w roku przyszłym 20. Będą one w zasadzie docelowe, np. z LSM na dworzec PKP lub PKS, ale gdy pozostaną w nich wolne miejsca, zatrzymywac się będą także przy przystankach na trasie. Będą one, oczywiście, droższe, np. około 8 złotych za przejazd. Jest to przecież jakaś alternatywa: jeśli nie autobus i trolejbus, to mikrobus, a dopiero w ostatniej kolejności taksówka.

Niewiele nadziei, jak na tyle lat oczekiwać. Różnej musimy być przygotowani na dalsze uciążliwości, skoro taboru ubywa, a mieszkańców przybywa. Na moim przystanku przy Alei Lenina widzę od czasu do czasu ponad siedemdziesięcioletniego pana, wspierającego się na kijku i patrzącego na nas, tłoczonych się. Z podobną miną mija przystanek i na własnych nogach zmierza do własnego celu. Wiedząc, że komunikacja miejska istniała w Lublinie już na początku wieku, że w roku 1929 władze grodzkie przejęły ją od prywatnych spółek, zapytałem go o wspomnienia komunikacyjne z lat młodości. Dowiedziałem się, że jakieś gruchoty obsługiwały trasę z Lublina do Piask, nieco lżejsze ze Sławinka na Unięka, no i przede wszystkim z dworca PKP do koszar, a miasto było jak jedna trzecia obecnego.

— Ale z tego wnioskuję — pytałem z wściekłą radością — że lubliniacy mieli takie same kłopoty, jak my teraz?

— Ale, panie, żadnych kłopotów nie było. Najczęściej chodzili na piechotę. Po czym podniósł darszek czapki i rażno poszedł przed siebie swoją ścieżką zdrowia.

Tadeusz Jasiński

Kamena str. 11

NIE była — i była. Samo południe (aż do południa z tym wszystkim zeszło) — skwar, naród w domu przy oprzędzie, nikogo dokoła. Jak się wzięła skąd wzięła się ona? Droga niedaleko, przez pastwy i łąki wierzbowe droga w glinie, w piachu, postąpić kroku, kurz się podnieśnie na pół nieba. Nie mogła tą drogą jak człowiek; przez miedzę, przez pola, przez rowy by ciągnęła: koślawych nóg na wertep czy by jej starczyło? Nie przyszła, a była, tu właśnie, teraz właśnie się pojawiła: wiedząca by ona baba była? Kto tu ją nadal, jakie diabli ją nadal? Nie na Krysię już, na tę babę wszystkie patrzyli, Leszek tak samo.

Była ona, jak to baba bywa, stara: nie tyle garbata, co na plecach hakowata, w szarej — burej kiecce z czasów, widać, tych jeszcze, kiedy była z niej gospodyni teża i gruba; suknia ta obciągnięta modrakowym fartuchem z ponaszwanymi wielkimi kieszeniami, ponapychanymi jakimiś dobrami. Na nogach, nieczym jęczmiennym powrósem okrzęconych żyłkami, miała stare klapaczki z obcasami zdartymi do gołego rzemienia. Ciasno zaciągnięta pod szyją lniana chustka unosiła się nad czołem sztywnym dziobem, spod którego wysmykał się rozkudłany wiecheć sinosiwych włosów, rozmięzionych po czole, oczach, pomarszczonej twarzy, którą całą zdawały się polykać szerokie, obrzeżone cienkimi jak brzytwki wargami wpadnięte usta. Tę gębę zajadła, osiła, z całej baby najlepiej było widać.

Babajędzka

Marian Pilot

Nas wszystkich po kolei ta Babajędzka lustrowała. — Wy niepote, niepote! — zakrzyknęła wreszcie; głos miała, jak z koziej trąby, beklawy.

Swoim ukreconym z grubej jałowcowej gałęzi posochem — gruzlastym i przez lata użytku wypozerowanym do suchej kości, z rękojeścią zwinętą w baranie ucho — tapnęła w ziemię ze złością, kuśtyknęła krok jeszcze ku Krysi. Schyliła się nad nią na tyle, by mogła się potem podźwignąć. Ustawiała się do niej boczkami, ujęła posoch oboma rękami i jak się nie rozmachnie, jak nie trzaśnie, jak nie szwyrnie. Igła wymknęła się z półrzytka Krysi, świstnęła w powietrzu i smyrnęła gdzieś w trawy, w lebiody. Uniosła baba znowu swoją jałowcową różeczkę — i jednym znowu przedkiem trzepnięciem osunęła Krysi suknię aż na nogi. Hej! — skrzeknęła, bo Krysię leżała dalej jakby nigdy nic, jakby jej najlepiej w świecie tak na leżać było. — He, pani, ty tutejsza!

Ale Krysię leżała, jakby nic się nie zdarzyło, albo może też nie wiedziała ona jeszcze wcale, co też takiego się darzy. Troszko brzydko leżała, garbato. Ziemia tu pastwana, utratowana, twarda i Krysię, choć leżała wyciągnięta jak długa, to jednak brzuch wypychał jej zadek do góry brzydko: wyglądało, jakby wypięła się na wszystko. Baba raz i drugi jeszcze zawołała na Krysię wielkim głosem, pokiwiała głową i coś mamrocząc, podniosła czubek swojego posocha ku gębce. Zdmuchnęła pył, strzyknęła śliną i czubkiem łaski ostrożnie posunęła po grzbiecie Krysi. Wymacała jakieś miejsce i zakreśliła pososkiem jakby to był fierlok do klepania żuru. Krysię skoczyła jak nakrecona. I tak samo nakreconą głowę obróciła dokoła. Na gębce była jakby pobielona; na nosie miała trochę piasku.

— Tuście mi! — zakrzyknęła. Tak pomalu obracając nakreconą swoją głową, na coraz to innego z nas patrzyła i musiało się jej nie podobać że jest tu nas tylu. Chciała nas wyzywać, ale że jej głowa dalej szła w koło, napotkała oczami babę; i widać było, że choć mamle wargami, to nie mówi nic. Ze to baba otworzyła gębę i ozywa się w te słowa: — Tom cię i wskrzesiła, mojaś ty kobietko. To co byś też za to ty dała mi na lepsze?

— Tfy — Krysię na to powiedziała i zaraz się skrzywiła. Zaboleć ją musiało w postrzykanym przez Leszka półrzytku.

— Kto ci powiedział — rozdarła się — ty babo, ty jedzo, że mnie akurat się marzy, żeby żyć? Że mnie się akurat o coś takiego rozchodzi? Tyś tu kula w plot trafiała! — Tak się rozdarła, że aż się zaniosła krzykiem, ucichła.

— Tobie, moja ty krzesnamatko — na to jedza rozłożona — chyba się w głowie, a jak nie w głowie, to prędzej w rzyce musiało przewrócić. Umrzeć to może ci się chce, ale wskrzeszać jeszcze bardziej. I ja mam być stratna za to, że cię skrzesa? Niedoczekanie!

Krysię nie już nie mówiła. Patrzyła na babę, jakby w niej co widziała.

— Jak tak — jazgotała baba. — Jak tak, to tak! Jakem cię wskrzesiła, tak i zaraz cię pokotem ułożę!

I zaczęła swoim pososkiem wywijać w różne strony, a potem sobie nad głową w koło; aż furczało. Furcząc tak, kuśtykała ku Krysi. Zgroźnie wyglądało, bo baba szła, a Krysię stała sobie jakby nigdy nic. Już ta baba-wiedźma swoją brzytwką śmigła nad głową Krysi strasznie; tylko czekać, jak jej głowę zerwie. Strach patrzeć było i na ten widok wreszcie Leszek się ocknął.

— Hej! — zakrzyknął. — A ty babo co? Ty myślisz, że ja tu kto?

Baba wstrzymała ruch swojej sztachetki na chwilę.

— Ja tam nie wagową na spędzie, rachunku nie piszę i kwitu nie daję, ledwo czego na lepsze się dopraszam za moją dobroć, nieladajakie staranie. Babem ci wskrzesiła, ty niepoto, czy to jest jakie byleco? Jak Pan Bóg dzisiaj do dnia słońce wskrzesiła, tak ja ci ją pokrzesiła. I niczego za to nie chcę, tyle że co na lepsze, czy to tyle nie należy mi się?

Leszek skłopotał się, tak jakby to on nie był żaden Byk na Rowerze, ale tylko taki bylejak, co przez całe życie wozu gnojówkę w beczkach.

— A co chcielibyście? Co też byście? — zapytywał raz po raz bardzo jękiwie. On nawet nie taki skąpy, tylko każdego grosza mu zawsze szkoda, bo potrzebny mu jest na wybyki.

— A — baba na to — co ja bym tam takiego od takiego jak ty mogła chcieć. Bo żebyś to ty co

takiego wielkiego miał... Niech tam. Bąbla mi dasz takiego jednego smarkatego. Smark by mi się przydał, a przecież sama nie poradzę sobie urodzić, choćbym nie wiem jak chcieć chciała.

Leszek napyszył się na takie słowa.

— Dziecko — powiedział — to jest największy skarb w rodzinie i w całym polskim państwie, choćby tam nawet i posmarkane było nie wiem jak. A wy mi tu babusiu: dziecko daj. Na służbę, mówicie, a jak pokaże się, że na poniewierkę?

Tak Leszek gadał, a mnie już jasno było, że ja przepadnięty. Duże było kino, kino większe jeszcze, a nawet może cyrk jeszcze będzie, ale ja będę ten, w czyją rzyć będzie się grało w dupnika. Bo jak ja się nazywam i jak mnie ludzie nazywają. Bóg jeden wie, jak nazywają i jak jeszcze będą nazywać. Ale nie da się powiedzieć, że wolają mnie też Bąbel. Jakby palcem mnie ta baba wytknęła: ten a ten, ten a nie inny. Leszek się pohandryczy, żeby dać poznać, jaki to on pan i na jakich bogatych dobrach i jakie skarby komu daje. Potem powie:

— Jak tak, to tak. To niech ta już będzie. Bierście, babusia, wybierajcie.

Jakby się zastanawiała baba. Wiodła po nas okiem po kolei, na tego i owego kręciła swoim krzywym jak gwóźdź w ceglanej ścianie nosem. Mamlala coś ościstymi ustami.

A ja wiedziałem swoje. Wiedziałem tak, jakbym niczego jeszcze na świecie nie wiedział — tylko o tym jedynie się wywiedział. A jak nie wiem co dobrze jest wiadomo, że niejedno wiem, i niejedno żem słyszał. A i tak to, że poniewierka mnie czeka, wiedziałem teraz lepiej, niż wszystko inne. I, wiedzący powiedziałem sobie, że czego tu robić wielkie termodyje; czego inni mają wiele gadać, skoro ja swoje mogę powiedzieć:

— Jak tak to tak, babusia — powiedziałem — Mogę ja iść... Ale co — zaraz pytam — swojego pososzka to wy mi dacie czasem potrzymać.

— Ha — zawrzaskła na to Babajędzka, moja gospodynia teraz. — Czego to ci się, głupi smarku, zachciewa? Jakżeś taki mamlas, że się możesz mojego fartucha trzymać. A posochem to cię zdzieli, jakby znowu co paskudnego miało z toba być.

— A przez wielkie światy się do was idzie, babusiu? — zapytałem. I w taką mowę się z Babą wdalem, że aż Krysię mi pozazdrościła:

— Hola, hola zawołała. — A ja tu kto? — Ja tu pies?

Pies nie pies, psica ledwie ona mogła być z tymi półrzytkami postrzykanymi. Wreszcie zaczęła i drzeć się, że nie da, nie pozwoli — ale co ona miała tu teraz między Leszkiem i Babą do gadania: równo nic. Leszek miał strzykawkę, Baba kijaszek, a co Krysię miała? Krysię mogli oni tymi szprycami i kijaszkami postrzykać i pokrzesić, a co ona mogła, jak nawet drewniaków na nogach nie miała. Język ona miała swój jeden jedyny, a co to jest, to jest nic albo jakby nic na terazniejsze czasy.

Wcale też na nią nie zważali ani jej nie słuchali, Leszek ani Babajędzka; żal mi się jej zrobiło, bo poznałem dobrze, że tu nie ma co; powiedziałem:

— Co tam, co tam, mama. Niech tam pójde, niech światła zaznam... — A Krysię jak się na mnie ręką nie zamachnie, jak nie wrzasknie:

— A wynocha! A wynocha, wyrodku! A zaraz, a w te pędy.

Na co Babajędzka jakby cały czas czekała. Pociągnęła mnie za rękaw i mówi:

— Jak tak, to tak, jak tak, to chodź Bąbel chodź. Kiedy ta przyjedziemy tu do twoich ojców w gości — do Leszka i do Krysi — tak powiedziała na odchodne.

I nie było już co mrugać, trzeba było iść. Nie było co mrugać...

Babajędzka, pokazała się, przemieszkiwała, jak to od razu zmiarkowałem gdzieś na trzeciej wsi aż i to takiej, do której od nas wcale było nie po drodze; szło się tam tak, jakby szło się nie wiadomo gdzie i nie wiadomo jak: to miedzą, to bruzdą, to ścieżką, którą znała może ona sama jedna. Szedłem sobie i myślałem: niejednego ja już w życiu znalazłem, czego też teraz zaznam: teraz samej jędy zaznam, bo sposobu nie ma, żebym nie zagnał. Jak też smakuje, ciekawiło mnie, jak też smakuje jędzka, czy do brzydactwa ona podobna, czy może jędzka i brzydactwo to jest jedno i to samo? Takie miałem myśli ciekawe kiedy szliśmy jakby wcale nie po tej ziemi i po tym świecie — takie miała Babajędzka swoje dróżki i ścieżki, skręty i wykręty w polu, w lesie, na łąkach — bośmy już tymczasem wszystkie te łądy zdążyli przejść. Zagadywała mnie baba idący o to i tamto, burkałem jak z pyłem na języku, co innego całkiem na myśli miałem. W duchu się cały czas pytałem, jakiej to kasy mi Leszek z Krysią nagotowali; wybryki się ich trzymają i czy mnie, Bąblowi, nie przyjdzie czasem za to wszystko kwękać. No, puknąłem się nareszcie w czoło, stało się jak się już nie stanie co tu śpiewać, jakie gorzkie godzinki odmieniać, lepiej drogę mieć na uwadze, bo jakby tam u Baby tak już było, żeby w żaden sposób nie mogło być, to czy kto mądry będzie się oglądał wiele: nogi za pas i wiać trzeba będzie do Krysi i Leszka, a jakby na to przyszło, to i dalej, choćby nawet tam, gdzie pieprz rośnie; ale żeby wiać, drogę trzeba znać... Ale ścieżki-dróżki tak powikłane, że co jeden skręt i obrót drogi w pamięci sobie zakarbowalem, to dwa inne mi z głowy wylatywały... tak było, jakby mnie wiodła Babajędzka w niewiadomo jakie strony i na niewiadomo jakie pokuszenie... Aż straszno było, ale tymczasem doszliśmy do drugiej wsi, o której wiedzieć, że jest taka, wiedziałem, ale w której nie byłem jeszcze: mówiło się, że ta wieś przyłesna, bagienna, i pokazało się, że słusznie tak było mówione, chałupy kucaly tu na skraju stawków i strug, kryły się w olszynkach, piach przemieszany z ilastym kwaśnym moczarem wszędzie, mosteczki, przelaz jakiś co raz... Ale się zdziwiłem, co też baba: śmigła dotąd po bezludziach, teraz pociągnęła przez sam środek wsi. Miarkowałem, że nie bez umysłu jakieś ono tak. I pokazało się, że prawda, że z umysłem ona tak ze mną szła. Na którymś tu mostku stał taki jeden knajtek, może był on w sam raz taki jak ja, może trochę większy. Popatrywał na nas, ciekawiło go widać, co też my za jedni. Babajędzka raz i drugi zerknęła na niego spodełka swoim paskudnym osim oczkiem. I tak ona do mnie mówi:

— Temu tam smarkowi to byś ty dał rady?

Popatrzyłem jeszcze na tamtego i mówię:

— Może bym i dał...

— Ale czy ty byś się nie bał dać mu rady?

— Baba pyta.

— Zeby to coś takiego zawczasu można było wiedzieć — ja mówię.

— Wiele to wie człowiek, póki nie spróbuje, akurat tam.

— No to spróbuj — Baba na to. Przyrznij mu ty i już. Daj mu w klukę.

— Za co też takiego ja bym miał go bić?

— Jak to za co? — Baba się zdenerwowała.

— Zeby wiedzieć, czy dasz mu rady czy nie. Albo i tak, przyrznać szczonowi i już, bo czego by nie.

— Kiedy ja tak nie poradzę — mówię. — Jak nie mam na kogo złości, to nie poradzę.

— Toś ty taki? — Baba mi na to. I co robi, ja się patrzę: wzięła kamień i buch nim w tamtego. Nie trafiła, kamień wpadł do rowu i chłopak się tylko obejrzał i zastanowił, co to, ale znowu już robi swoje, coś tam sobie struga. Baba za drugi kamień wtędy i trach go — prosto w leń.

— Ach ty, babo paskudo, jak cię trzasnę, jedzo jedna! — zakrzyknął tamten knajtek i co miał w rękę, a miał w rękę kawał kija — tym prask Babę przez leń. Baba w krzyk:

— Takiś ty — do mnie woła — babusiu ci tak jako bylejak przez leń zdzieli, a ty nic.

— Bo jak cię — ja do tamtego mówię. — Jak ja cię...

— Ty mnie? — on na to. — Ty mnie?

I już, nie wiedzieć kiedy, trzymamy się oba za lby i zaraz już w piasku się poniewieramy: on jest na wierzechu i mnie pięścią w nos, w zęby; i już ja, bo zabolalo, na nim i ja jego prosto w nos, w zęby, i teraz znowu jego bardziej zabolalo i znowu on na mnie okrakiem siedzi i wali gdzie popadnie, ja ryczę jak zarzynany i jego gdzie popadnie walę tak samo. I już na bijzabij my oba; aż Babajędzka wraziła między nas swój kij, my oba wtędy na równe nogi i znowu jeden do drugiego z pazurami: a Baba jak nie zdzieli tamtego raz i drugi swoją lagą — siąknął knajtek czerwonym nosem i uciekł. Dart się w niebogłose, a Baba kijaszkiem groziła mu jeszcze:

— Ty niepoto!

Zza pazuchy wyciągnęła jakąś szmatę i powiała mi przed oczami.

Fragment powieści „Brzydactwa, albo tam, gdzie much nie ma”, która ukaże się nakładem S.W. „Czytelnik”.

Odpowiedzi redakcji

A. B. Cieplice. Nie powiem, że mnie „Oczenie” nie zainteresowało. Czuję w nim temperament, odwagę pasowanie się ze słowem, upór. Przypomina się Breniewski. Ale ta młodzieńcza pasja nie znalazła jeszcze odpowiedniego wyrazu. Smiałość sąsiaduje z naiwnością. Niestety i poetycka wizja musi podlegać kontroli.

J. K. Luczynów. Nic nie mogę doradzić co zrobić z napisanym pamiętnikiem, bo jeszcze go nie widziałem. Ale myślę, że ze względu na rozmiar najlepiej zwrócić się do jakiegoś wydawnictwa. My jako czasopismo byłbyśmy tym zainteresowani tylko w tym wypadku, gdyby można było wybrać fragment stanowiący mniej więcej tłumacza się całość. Ale zarówno my, jak i wydawnictwo — tylko wtedy, kiedy tekst okaże się zasługujący na druk.

N. B. Lublin. W samym utworze powinien być wyrażony powód, dla którego został napisany. Cóż z tego, że da się z niego wybrać parę interesujących zdań, skoro nie komponują się w całość jakiegoś poglądu, przeświadczenia, stanowiska. Fabuła nie musi być pełna nadzwyczajnych wydarzeń, to raczej nadaje się do powieści sensacyjnej. Ale w nadesłanym materiale nie widać dobrej literackiej roboty. Nawet jej zamysłu. Ma się wrażenie, że zostało to napisane mimochodem, tyle tylko, że przypadkowo niektóre spostrzeżenia są trafne.

Z. B. Biała Podlaska. Jeżeli poezja się Pan naprawdę interesuje, musi Pan zacząć od uświadomienia sobie istoty poetyckiego słowa. To, że współczesna poezja zrezygnowała z rymu, nie zwalnia od trudu wyrażania. Jeśli uważa Pan, że tylko rym nastęrcza trudności, a jego brak czyni dostępną do poezji łatwą każdemu, zdradza Pan zasadnicze niezrozumienie rzeczy. Bardzo mi przykro, ale muszę stwierdzić, że oba bruliony wypełnione wierszami takimi, jak przysłane stanowią wartość tylko w pańskim prywatnym życiu. Jako świadectwo młodości, kiedyś może zasługujące na chwilę wzruszenia. Dziś je należy schować.

C. R. Ostrów Wielkopolski. Wyrwanie z życia powiedzonek z gwary sztubackiej, scenek obyczajowych autentycznych i nawet trafnie zaobserwowanych to jeszcze nie współczesność. Powinien się Pan pokusić o oddanie atmosfery dzisiejszego życia, a tej nie zapewni inkrustacja aktywnościami doć staroświecko ujętego opowiadania. Kto jak kto, ale właśnie autor w Pana wieku powinien umieć zawrzeć w utworze „ducha czasu” teraźniejszego.

J. M. Włodawa. Oprowadza Pan swojego bohatera po różnych miejscach miasta. Raz każe mu Pan wejść do kawiarni, innym razem spotkać dziewczynę koleżkę. Jeszcze kiedyś wypłatać się z sytuacji mogącej zakończyć się grubszą awanturą. Tak, w powieści ktoś gdzieś wchodzi, czeka, kupuje gazetę. Ale i te drobne realia służą głównej idei utworu. U Pana tego nie ma, utwór mimo „dziania się” zostaje pustą.

M. C. Stalowa Wola. Owszem, mogą zainteresować te eksperymenty z pogranicza liryki i humoru. Tylko za wiele zaufa Pan mechanizmowi pomysłu, a za mało skierował pracy na realizację. Ostatecznie te poliny nie są dozwolone. Nie muszą zawierać elementu satyry — zgoda. Ale jakieś uzasadnienie z narzucenia małżeństwa doświadczenia rodzajem (co oczywiście nie jest w literaturze niepraktykowane) istnieć musi.

B. S. Lublin. „Lekki wietrzyk poruszał konarami drzew, których listowie szeleściło jakby mrużąc wieczorną modlitwę. Ostatnie promienie zachodzącego słońca kładły się świetlistym refleksiem na tafli jeziora bliższego o brzeg łagodnymi falami”. Czy nie widzi Pan podobieństwa? Po co brać pióro do ręki, jeśli w efekcie ma się powtarzać stylizowane zwroty należące już do — kiejkiej zresztą — tradycji? To z pewnością nie może dać satysfakcji dzisiejszemu autorowi. Jeżeli mówi tak nie mówi o sobie. Pisze wypracowanie. Czy nie miał Pan dość tego w szkole?

A. B. Ryki. Wiersza nie można napisać doświadczeniami innych. Nie można tak napisać niczego. Jeśli w prozie (a i to nie we wszystkich jej postaciach) obowiązuje postulat obiektywizacji, nie polega on na posłużeniu się czymś przemysłowym i przeżyciem jak prefabrykatem. Tym bardziej w poezji. Dlatego nieuzasadnione są Pana nadzieje, że może kiedyś będzie Pan pisał „jak inni”. Raczej trzeba tego unikać. Zdobyć się na własny wyraz. A przypuszczam, że zadatki na to istnieją. Więcej wiary we własne siły i we własną indywidualność.

Z. T. Tomaszów Lubelski. Co stanowczo swankuje w Pana opowiadaniu, to dialogi. Przecież ludzie nie rozmawiają językiem tak sztampowym. Co kto otworzy usta, to mamy wycinek z gazetki. A przecież zmysł obserwacji Pan posiada, co widać z partii opisowych. Dlatego zabija Pan swój własny utwór! Radziłbym jeszcze raz podjąć ten temat, ale już bez tej dretwoty, w którą Pan wszedł na zasadzie jakiejś niewytłumaczonej sugestii.

R. T. Zamość. Czy się z tego rozwinięła poezja? Nie wiem, na razie widzę piosenkę. Ta niefrasobliwość, ten brak dyscypliny, ta maniera bylejakości wreszcie jakie spotykamy w tekstach spiewanych. Owszem, rozróżniam piosenkę jako postać poezji od słownego materiału służącego za kanwę przeboju, ale to nie mamy z tym pierwszym do czynienia. Musi Pani „spowadzać”.

Szyfrogram literacki (nr 20)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przemieścić do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — dwa zdania z powieści współczesnego polskiego pisarza, którego imię i nazwisko utworzą ostatnie litery pierwszych 15 wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne zdania.


Wyrazy pomocnicze

- 78, 26, 31, 21, 63, 18, 68, 5 — nieprzepracowane godziny pracy,
- 29, 62, 11, 76, 16 — na powiece i stawie,
- 56, 59, 149, 129, 19, 65, 77, 55 — polski port,
- 58, 44, 84, 84, 43, 12 — żmpeł,
- 9, 14, 33, 124, 36 — do prania i mycia,
- 22, 42, 118, 53, 41, 66, 151, 27 — rzadkie drzewo liściaste,
- 124, 33, 142, 119, 25, 2 — ziele używane jako przyprawa do potraw,
- 100, 78, 45, 90, 144, 6 — arbiter,
- 87, 48, 17, 28, 61 — długopis starożytny,
- 15, 148, 68, 88, 94, 3 — smaczna ryba podobna do weża,
- 37, 85, 74, 46, 4 — przedłużają ręce przy załadunku płodów rolnych,
- 108, 20, 13, 132, 57, 23, 7, 8 — polski tygodnik barwny,
- 30, 143, 122, 98, 41 — specjalność Fibaka,
- 95, 34, 136, 31, 52 — siedziba Muzeum w Lublinie,
- 32, 28, 54, 10 — państwo w Afryce zachodniej,
- 24, 117, 60, 128, 47 — zwierzę padlinotierne,
- 48, 120, 67, 138, 147, 72 — oznacza koniec budowy,
- 88, 123, 86, 97, 129, 146, 125, 102, 82 — miasto sołt,
- 92, 104, 96, 99, 137 — wielki deszcz,
- 1, 163, 130, 35, 111 — pisze wiersze,
- 140, 114, 112, 121, 131, 142, 150, 167 — zakład metalurgiczny,

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	
	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26		
27	28	29	30	31	32		33	34	35	36	37	38	39	40
	41	42	43		44	45		46	47	48	49		50	51
52	53	54	55	56	57			58	59	60	61	62		63
64	65	66	67	68	69	70	71	72		73	74	75		76
77	78		79	80		81	82	83		84	85	86	87	88
89	90	91		92	93	94	95	96	97	98		99		100
101	102	103	104	105		106	107	108	109	110	111	112	113	
114	115		116	117	118	119	120	121		122	123	124	125	126
127		128	129	130		131	132	133	134	135	136	137	138	139
140	141	142		143	144	145	146	147	148	149	150	151		

56, 76, 118, 73, 113, 40 — utwór żalobny,
116, 135, 127 — wąsata ryba,
93, 103, 141, 109 — miasto w NRD słynące szklami,
98, 101, 75, 71, 91 — tor kolejowy,
106, 29, 115, 133, 126 — pieniądz polski.
Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.
Rozwiązaniem szyfrogramu z Nr 18 był wiersz Ignackiego Krasickiego pt. „Wino i woda”:
Przymawiało jednego czasu wino wodzie:

„Ja panom, a ty chłopom jesteście ku wygodzie”
„Nie piloby cię państwo — rzecze woda skromnie —
Gdyby nie chłop dał na cię, co chłodzi pić do mnie”
Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu literackiego Nr 18 cztery nagrody w postaci bonów książkowych, po 40 złotych każdy, wylosowali: Józef Golan, Lublin, ul. Tatarska 6 m. 1; Kazimierz Piloń, 22-548 Turkowice, wieś Wronowice, woj. zamorskie; Andrzej Wosik, 88-500 Gostynin, skr. pocz. 53; Tadeusz Buchoski, 17-106 Bielek Podlaski, ul. Krzywa 4, woj. Białystok.



listy do kamery

GARMONDEM O PKP

W związku z artykułem pt. „Garmodem” zamieszczonym w nr 1 „Kamery” z 26 kwietnia 1975 r. i uzupełnieniem w nr 12 z 15 czerwca 1975 r. dotyczącym nieprawidłowych warunków podróży w wagonie syplalnym na trasie Lublin — Szczecin w dniu 25 marca 1975 r. Zarząd Przedsiębiorstwa Wagonów Syplalnych i Restauracyjnych „Wars” uprzejmie informuje, że w wyniku przeprowadzonego dochodzenia służbowego ustalono, co następuje:
Za opisane w artykule nieprawidłowości, takie jak niedostateczne ogrzanie wagonu, uszkodzenie umywalki, brak gazu (co uniemożliwiało przygotowanie gorących napojów) oraz za ogólny stan niedostatecznej czystości wagonu, pełną odpowiedzialność ponoszą: pracownik sprzątający i przygotowujący wagon do jazdy oraz konduktor obsługujący wagon syplalny.
Uprzejmie informujemy, że z pracownikiem odpowiedzialnym za przygotowanie wagonu do drogi, jego czystość i wygląd estetyczny, rozliczono umowę o pracę, natomiast konduktor ukarany został karą dyscyplinarną zgodnie z art. 308 Kodeksu Pracy.

Za pośrednictwem redakcji przepraszamy pasażerów, którzy z winy naszych pracowników narazeni zostali na niewygodę i kłopoty w czasie podróży. Dziękujemy za kruteczne uwagi i informację na temat stwierdzonych nieprawidłowości w pracy pracowników PWSIR „Wars”. Wyrażamy przekonanie, że podjęte decyzje wpłyną na eliminację podobnych nieprawidłowości w przyszłości oraz na podniesienie jakości i poziomu usług świadczonych przez Przedsiębiorstwo Wagonów Syplalnych i Restauracyjnych „Wars”.

Zastępca dyrektora
mgr Zenon Kleczyk

KLASYCZNY „OGRÓD”

Opublikowaliśmy niedawno kilka wierszy młodych poetów informując przy okazji, że stanowią oni grupę „Ogród”, połączoną zainteresowaniem dla humanistycznej sfery rzeczywistości i pragnieniem poruszania znaczących, ludzkich problemów. Czytając te wiersze doszedłem do wniosku, że tych obywateli łączy pragnienie drukowania poezji i nie poza tym. Jeśli oczywiście pominiemy wstydliwym milczeniem fakt, że ich produkty niezupełnie specjalnym się nie wyróżniają ze strumienia przeciętnego poezjowania, który szeroko rozlewa się po kraju. To są zwyczajnie wierszyki, owszem, nadające się do druku, ale na takiej samej zasadzie, jak tysiące innych: bo nie znajdują się na poziomie grafomanii.

„Ogród” jest raczej grupą towarzysko-pokoleniową, młodzi ludzie urodzeni w tych samych mniej więcej latach poznali się przy jakiejś tam okazji i dalej występować „pod hasłem”. Ani to zdrowe, ani wyjątkowe, dalsze ugrupowania artystyczne z rezultatem posiadają taki właśnie charakter, czyli nie posiadają sformułowanej ideologii. Autentyczne grupy skończyły się gdzieś na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, teraz obserwujemy Stowarzyszenia Wsławnego Wsparcia się w Potrzebie Publiczno-Poetyckiej. No cóż, takie czasy, niech „Ogród” kwitnie. Aż natrafi na „złoty” ogorodnika, który popłenił sobie troszczenie, co młodym poetom wypadło tylko na zdrowie.

Henryk Litwin
Kraków

„DESA” W LUBLINIE

Słyszałam od znanych, że w Lublinie zostanie otwarty sklep „Desy”, bardzo tu zresztą potrzebny i oczekiwany. Interesuje mnie, kiedy to nastąpi i gdzie ten sklep został zlokalizowany.

Anna Chmarzyńska
Lublin

Od redakcji: Sklep „Desy” będzie otwarty w najbliższych tygodniach — obok restauracji „Powszechna” przy Krakowskim Przedmieściu, niedaleko dzisiejszej księgarni medycznej, w której w 1944 roku mieściła się słynna kawiarnia malarzy „Pod Paletą”.

KONKURS NA REPORTAŻ

TEMATEM otwartego konkursu na reportaże jest budowa Lubelskiego Zagłębia Węglowego (fakty, ludzie, zdarzenia).

Objętość prac konkursowych nie powinna przekraczać 20 stron normalizowanego maszynopisu. Termin złożenia prac konkursowych upływa w dniu 30 czerwca 1976 r.; o ważności wpływu decyduje data stempla pocztowego. Uczestnicy konkursu winni przelać swoje prace pod adresem Wydawnictwa Lubelskiego (Lublin 20-022, ul. Okopowa 7) w trzech egzemplarzach sygnowanych godłem oraz dołączyć w zamkniętej kopercie imię i nazwisko autora z podaniem miejsca zamieszkania.

Prace nie mające charakteru reportażu oraz uprzednio publikowane nie będą rozpatrywane. Maszynopisy nienagrodzone zwracane autorom nie będą.

Organizatorzy konkursu przewidują przyznanie następujących nagród i wyróżnień: I nagroda — 10 000 zł, dwie II nagrody po 5 000 zł każda, trzy III nagrody po 3 000 zł każda, pięć wyróżnień po 1 000 zł każde. Zastrzega się inny podział wg. decyzji jury.

Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo pierwotnego druku prac konkursowych. Skład jury powołają w terminie późniejszym organizatorzy konkursu: Wydawnictwo Lubelskie, Urząd Wojewódzki w Lublinie, Wydział Kultury i Sztuki, Dyrekcja Kopalni Lubelskiego Zagłębia Węglowego w Budowie oraz „Sztandar Ludu”. Termin rozstrzygnięcia konkursu ustala się na 30.IX.1976 r.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redakcja zespół: Maria Reherze-Rudnicka, Jerzy Dostalski (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunst Mańkowski, Zygmunst Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Dębecki, Tadeusz Jasicki, Irena — J Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórecki (redaktor techniczny) — Irena Komosa korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 38 zł, kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 15 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumerate na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe małe siedziby na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumerate na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 60-346 Warszawa, konto PKO 1-6-180624. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje fotografie w formacie 10x15 i 13x18.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4, Zam. 2182, 19.IX.75 r. K-7.

Numer łamali: Mieczysław Paulek, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-83, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje rzykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; poleczone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

DZIEN jak co dzień. Jesień zaczyna przesycać powietrze miasta, „bukinistyczna” sprzedaż owoców dodaje urody fioletowej i czerwieni. Masyw pomnika Czechowicza trwa poszerzonym granitem. Tworzy się grupa przechodniów zatrzymywanych słowami poezji. Jest trzydziesta rocznica śmierci poety. Tyle go teraz wśród zmarłych ile go kiedyś wśród żywych. Żył lat trzydzieści sześć.

Koło Młodych przy Lubelskim Oddziale Związku Literatów Polskich pod auspicjami ZWZSZP i Muzeum Czechowicza wystąpiła z recytacjami wierszy bezpośrednio na ulicy. Kto wie, czy nie pierwsze to tego rodzaju wydarzenie w historii naszego miasta. A z pewnością pierwsze manifestacja pod tym pomnikiem od dnia jego odsłonięcia. Były wiersze Czechowicza i były wiersze młodych.

Czechowicz na ulicy. Nie zdumiewa? Ta poezja przeznaczona do indywidualnego odbioru, na dobrą sprawę nie wytrzymująca próbie już większej sali, podana wprost w otwartą miejską przestrzeń. W sąsiedztwo przystanków, wystaw sklepowych i owej „bukinistycznej” sprzedaży owoców. Nie przypuszczał „bomba trafiony w stalla”, że jest to możliwe. A już z pewnością nie — że stanie się to dokładnie w miejscu jego przypadkowej i tragicznej śmierci. Ze jego szepi przejdzie kiedyś przez megafon.

Jakie jest miejsce Czechowicza we współczesnej wrażliwości odbiorcy? Takie jak każde inne poezji prawdziwej, to znaczy wyznaczonej i kondycji ludzkiej, a nie wyznaczonej literackiego rynku, więc nie przypuszczam, by „młoda człowiecza” naprawdę mogła zainteresować kogoś, kto jej nie sty-

nowo absurdalne łamanie wiersz. Bitowa aranżacja melodii ludowej — oto co się przypomina przy lekturze tych „tekstów”. Ile u Czechowicza wierszy, pejzazowych. Tak, ale jeśli nie wyczuwamy muzykalności słowa, są to tylko „obrazki” zblizone do tego, co popoziłte mniemanie nazywa wierszami dla dzieci. Napisał Czechowicz, więc z dobrodziejstwem lirycznego inwentarza jest przyjęte. Ten właśnie element dla dzisiejszej wrażliwości jest chyba najbardziej wątpliwy. Bo nie kontaktuje z akustyką odbioru wykształconą na rudymenarnie brylowatości. Mam wrażenie, kiedy te wiersze czyta się publicznie, że większość słuchaczy nawet nie pozbawiona pewnej z grubszą oglądą literackiej odnosi przeświadczenie, że to „taki sobie poeta”.

Więc w końcu ta poezja żyje, czy nie? W tym znaczeniu czy można ją uznać za słowo na dzisiaj, bo co do jej obecności w dorobku polskiej poezji kwestii nie ma. Mówi swą aktualnością, czy zastępnym już kształtem? Może się stał ten osobliwy casus, że pewna postawa poetycka wróciła okrężną drogą przez łmy i perypetie czterdziestu lat? Każde „tak” ciągnie za sobą tyle uwarunkowań, że nie można dać jednoznacznej odpowiedzi. Dla mnie — co poradzić na pamięć — Czechowicz aktualny stałby się uboższy. Czytany ad usum temporis praesentis — nie pełny.

Wiersze młodych poetów lubelskich. Piotr Grauman, Marian Janusz Kawalko, Henryk Makarski, Aleksander Rozenfeld. Zawierać się tu będzie sprzeczność z tym, co o współczesnej poezji powiedziałem wyżej, ale muszę się przyznać, że nie zostałem bez wrażenia. Może to okoliczność, że

Z powodu poezji

Zygmunt Mikulski

szal za życia poety. I wcale w tym nie ma obrazu dzisiejszych czytelników. Zanikły wszelkie światopoglądowe i emocjonalne odniesienia tej poezji, został sam tekst — urzekający — ale bez możliwości rezonansu, jaki daje to samo widzenie świata, czy ściślej: widzenie tego samego świata. Obawiam się że Czechowicz jest dziś przyjmowany trochę na zasadzie „retro”, w najlepszym razie dzięki przeświadczeniu, że jest to dobra poezja. To jeszcze nie Czechowicz. Ale czego właściwie chce? To samo da się powiedzieć o Leśmianie, Lechoni, Jasmorzewskiej-Pawlikowskiej, o wszystkich, którzy do poezji wnieśli swój wyraz, a dziś znajdują się w kregu lektur przez to tylko, że byli świetni. Jednakże Czechowicz jest dla mnie w tym szczególnym położeniu, że jego twórczość zamyka się w kategoriach czystej liryki, przed której nazywaniem zawsze powinna istnieć obawa. Chyba, że jest coś takiego jak czysta krytyka, to znaczy narzędzie nazywania optymalnie zbliżające się do swego przedmiotu. Ale wtedy po co krytyka? Każda prawdziwa poezja jest autodefinicją.

Pozornie nie powinno być wątpliwości. Przecież współczesna poezja również wynika z opozycji, niejednoznaczności, rozdarcia, niezgody na świat. Ale jest jakieś nie to samo. Obawiam się, że z Czechowiczem przy muje się tylko zewnętrznie rozumianą manifestację pesymizmu, natomiast nieprzyswojony zostaje stosunek poety do twórczości, którą dawał wyraz swym katastroficznym nastrojom, ale w której się również ocalał. Nie gdzie indziej, ale w „modlitwie żalobnej” czytamy:

Jeśli da nam takt, pić da nam rytm
i da się uweselić
Jeśli zdobywamy się na „takt” i „rytm”, osiągamy błogosławieństwo poetyckiego ocalenia. Poezja współczesna nie ma czegoś takiego. Poprzestaje na wotum nieufności, a jakże często i ono jest tylko manierą. Jest „realityczna”. Nie ma w niej muzyczności (nie to samo co onomatopoeizowanie), nie ma w niej innej zasady komponującej. Zauważymy, że nie istnieje dziś słowo „poetyka”. Nie ma poetyk różnych. Oponuje się przeciw „kanonowi” na rzecz „swobody”, a ta „swoboda” to monotonna ortodoksja „słowa rozkojarzonego” wraz z jego formalnymi chwytami, jak np. skład-

słowo „z głębi jaśni”, wyznaczenie osobiste raptiem rozbrzmiewa w centrum miasta wielokrotnione (zle na początku działającym) megafonem, odbite od murów ulicy Kościuszki? Może to ten inny wymiar spowodowany innością przekazu? Ale przecież i jakoś utworów, które dają sposobność do refleksji. Nie bez powodu młode środowisko literackie Lublina „liczy się” (patrz „wiosny”, festiwale, nagrody).

Nigdy natomiast nie przypuszczałem, że o Czechowiczu będzie mówić Maria Kuncewiczowa. Ze prozalki o poecie? Nie. Ale bogate intelektualnie pisarstwo Kuncewiczowej (jakże „intelektualnie”, skoro w „Fantomach” pisarka wyraźnie powiada, że właściwie nigdy niczego nie zrozumiała? „Wiem, że nie wiem”, powiedział ktoś, kto przeszedł do historii filozofii), jej doświadczenia i umiejętność spojrzenia poza fasadę zjawisk, jej podobne do porażenia zdumienie światem jak gdyby programowo wynikały ze źródeł pozaemocjonalnych. Ile się da, próbować zrozumieć świat, dopiero po tylu próbach ma się prawo powiedzieć „nie wiem” — oto zasada tej jakże szlachetnej pańki. Powinna być więc wyznacznikiem niezłomności stanowisk, jeśli przy takim założeniu mówi się o kimś, kto oświadczył, że pisze w stanie „muzycznego przyćmienia świadomości”. Tymczasem wizerunkowi tej poezji wyprowadzonemu z palety innych uwarunkowań nie zabrakło niczego z potrzebnych linii i barw. Osobiste fakty ten stwierdzam z tym większą satysfakcją słuchacza, że mówię o poezji, o poezji lirycznej, jest niezwykle trudno z powodów — chciałoby się powiedzieć — logicznych. Bo albo podaje się informacje prawdziwe, „zobiektywizowane”, ale mające niewiele związku z przedmiotem, albo zamierza się „wejść w nastrój”, a wtedy tylko o krok od powierzchniowej impresyjności, dowolnej i niesprawdzalnej w wymiarze sądu.

Przecież jednak nie dla jeszcze jednego przyłożenia teoretycznej miary urzędowo impreze. Stało się to dla poezji. W rocznicę śmierci poety, i — bij zabił — nie mogę się pozbędzie wrażenia, że blisko miejsca, które dało asumpt do wiersza, gdzie „Jestem biegnie na przelaj na bliskim jest kilometrze”.

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

(17)

Gdy Michał opalał się na bułgarskiej plaży, Mirka robiła to samo w Uście, gdzie temperatura morza, jak dowiadujemy się o tym z lektury ostatniej strony „Trybuny”, wcale nie ustępowała, a chwilami nawet przewyższała temperaturę Morza Czarnego. W tym roku Baltyk okazał się szczególnie łaskawy dla licznych wczasowiczów, którzy tylko w drugiej połowie lipca czuli się nieco zawiedzeni.

Zamieszkała u szej siostry, Ulki, w Słupsku. Doszła do wniosku, że nawet codienne dojazdy ze Słupska do Ustki będą ją kosztować taniej niż wynajęcie kwatery nad samym morzem. A poza tym wieczorami mogła długo rozmawiać z Ulką, której już nie widziała od roku. Ceniła sobie te rozmowy, chociaż obie dziewczyny nie ważyły się na siebie. Ulka miała bardzo krytyczny stosunek do życia. Starsza o osiem lat od Mirki, zdążyła już nie tylko wyjść za mąż, ale i się rozwiść. Plonem niedużego matenstwa był dwuletni Januszek, niezmiernie rożgarnięty, choć nieco rozpieszczony, dziecko. Januszek interesował się przede wszystkim kosmosem i motoryzacją, umiał z daleka rozróżnić marki samochodów, a kiedy czasami brała go z sobą nad morze, przekształcał szyski w sputniki. Mirka mówiła potem do Ulki:

— Popatrz, jak się czasy zmieniają! Ja też lubiałam bawić się szyszkami, ale z nich powstawały różne ładne stworzonka, a nie sondy kosmiczne.

— Bo ty, ciociu — stwierdził Januszek — nie miałaś żadnej wyobraźni.

— Niedługo trzeba będzie mieć wyobraźnię, żeby stworzyć z szyski lisa czy niedźwiedzia. Więcej będzie sztucznych satelitów niż leśnych zwierząt — odpowiadała na to Ulka i dodawała groźniejszym tonem:

— Januszeku, proszę unieść ręce, szkił i klasz się spać.

— Kiedy, mamusi, dzisiaj taki ciekawy film w telewizji. Daj mi obejrzeć!

— Nie ma żadnego oglądania filmów. Szybko do łóżka! Nie było już apelacji. Kiedy zostawały same w pokoju, nadchodził czas zwierzeń.

— Na twój miejscu dalałbym spokój z tym Michałem. Zauraczasz sobie głowę zonatym mężczyzną. Myślisz, że się dla ciebie rozwiedzie?

— Wcale mi nie zależy na jego rozwodzie. Po prostu dobrze się z nim czuję.

— A co będzie dalej?

— Nie wiem. Nie myślę o tym.

— Ale ty nie wiesz też tego, że im dłużej z nim jesteś, tym się bardziej do niego przyzwyczajasz!

— Może i tak. Ale popatrz trochę na siebie. On był wolny, ty również. On miał lat 22, ty nie przekroczyłaś dwudziestki...

— No, nie przekroczyłaś osiemnastki...

— Mniejsza o szczegóły. Pobraliście się z wielkiej miłości i co zostało po kilku latach? No co? — Mirka zapaliła się nico.

— Przede wszystkim został Januszek, a z rzeczy smutnych — doświadczenia. Chciałaby i takie, że nie warto ponownie brać sobie chłopca na głowę.

— Ale przecież nie żyjesz w celibacie.

— Prawie jakbym żyła. Nie wzięła się z jednym, jedynym, tym wyjątkowym, wymarzonej. Traktuję mężczyznę tak, jak oni traktują zwykłe kobiety.

— I co z tego wynika?

— Ze tak jest po prostu lepiej. Teraz to już nie oni ode mnie odchodzą, ale ja odchodzę od nich.

ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSU-ZABAWY PODRÓŻ W CZASIE

W 16 numerze „Kamery” ogłosiliśmy konkurs — zabawę. Polegał on na tym, że nasi czytelnicy mieli dopisać drugą część — chodziło nam o dowcipną pointę humoreski. Otrzymaaliśmy 34 „odpowiedzi”. Po dokonaniu pierwszej selekcji pozostało 12, po drugiej — dwie. Nie mogliśmy się zdecydować, którą wybrać i postanowiliśmy urządzić plebiscyt wśród czytelników. Drukujemy oba teksty: pierwszy autorstwa WŁADYSŁAWA KATARZYŃSKIEGO z Olsztyna i drugi — BOGUSŁAWA WIECZORKA z Gdyni.

Przypominamy jednak na wstępie pierwszą część humoreski w streszczeniu:
Bohater wybiera się ze swym przyjacielem, Robertem, w... przyszłość. Torpeda czasu jest przygotowana do startu. Wybrany rakiem jest rok 2975. Humoreska kończyła się słowami:

Start ustaliliśmy na dzień następny. Zaopatrzyliśmy się w konserwy z wołowiny, suchary, wzięliśmy kilka butelek „Zytnej”, aparat fotograficzny i filmowy. Usiadłem z tyłu maszyny, przyjaciel z przodu. Coś zacharowało, zawarowało, rozległ się trzask, potem gwałtownie pociemniało i jeszcze gwałtowniej rozjaśniło się. Na moment straciłem przytomność. Gdy się ocknąłem...

Oto ciąg dalszy humoreski według propozycji pana Władysława Katarzyńskiego:

... z ciemności dobiegł mnie stroskany głos przyjaciela:
— Nici z wyprawy. Zwarcie! Cholera, kto to mógł zrobić? — Słowa zabrzmiały nutką skargi.
Raptem rozblysł światło. Powoli zdjąłem czapkę: oparty o urządzenie elektryczne naszego pojazdu stał sam prezes PZU.
— Przewornym zawsze ubezpieczony — powiedział surowo, kładąc na pulpicie wehikułu dwie polisy ubezpieczeniowe.

A teraz propozycja druga — Bogusława Wieczorka:

... ujrzałem przez iluminatory zieloną, oświetloną słońcem równinę.
— No i co? — spytał Robert z lekkim uśmiechem znamionującym satysfakcję.
— Czuję się wręcz fantastycznie!
— Szczęśliwe zakończenie podróży wypadłoby uczcić toastem — zaproponował siląc się na uroczyzny ton.

Wypiliśmy po kieliszku, po czym żwawo wyskoczyliśmy z torpedy.
— Ileż tu trawy! — rzekłem uradowany, wciągając w płuca orzeźwiający powietrze.
Przyjaciel jakby tych słów nie dosłyszał. Uparcie spoglądał gdzieś w dal. W pewnym momencie wrzasnął na całe gardło:
— Patrz, ludzie!

Przetarłem oczy. W naszym kierunku szło dwóch osobników.
— Może mają jakieś złe zamiary. Lepiej stąd przyskajmy! — wskazałem głową na maszynę. — Szkoda, że nie pojechałem na wieś — przemknęło mi przez myśl.

Tylko spokoj może nas uratować — powiedział Robert.
Dwaj średniego wzrostu brodacze zbliżyli się do nas na niewielką odległość. Nieco wyższy trzymał w ręku neseser.
— Witajcie! Zajmujemy się handlem wymiennym — oznajmił czystą polszczyzną, stawiając na ziemi neseser. — Jeśli zgodzicie się na dokonanie z nami wymiany towarów, ręczę, że nie pożałujecie.

— Nie przybyliśmy tu w celach handlowych, ale skłonni byłibyśmy się dowiedzieć, co was interesuje — rzekł donośnym głosem Robert.
— Papier toaletowy — odezwał się milczący dotąd drugi brodacze. Po chwili dorzucił: — Za jedną rolkę dajemy sztabkę czystego złota ...
W milczeniu podążyłem za przyjacielem do pojazdu. Błyskawicznie zaleźliśmy się w środku. Pomachałem ręką handlowcom.
Coś zacharowało, zawarowało, rozległ się trzask...

Która podoba się bardziej? Czekamy na listy pod adresem „Kamery” z napisem na kopercie (lub na kartce pocztowej): „Final konkursu — zabawy”. Wśród uczestników głosowania rozlosujemy trzy nagrody książkowe. Z góry dziękujemy.

I jeszcze jedno. Niektórzy uczestnicy konkursu potraktowali sprawę poważnie, a nam przecież wyraźnie chodziło o dokonanie humoreski. Wśród pomysłów, który wzbudził również nasze zainteresowanie, był i taki: bohater humoreski zjawia się w 2975 roku w momencie, gdy odsłaniają jego pomnik. Niestety, pomysł nie został dopracowany do końca, a nie chcieliśmy, jak to bywa niekiedy w zwyczajach, „pisać za kogoś”. Nie mniej zachęcamy autora do dalszych prób tego rodzaju.

Przy okazji dziękujemy p. Sylwii D. z Sosnowca za zdjęcie, dołączone do tekstu. Przykro nam, że nie mogliśmy i z niego skorzystać.
Ponieważ konkurs — zabawa, jak nam się wydaje, „chwyciła” (bądź co bądź był okres ferii i urlopów) jeszcze w tym roku przedstawimy kolejną propozycję, licząc na oddźwięk czytelników.

— Zauważyłam jeana, że ten twój znajomy, który wczoraj ciebie odwiedził...

— Wiktor?

— Tak, Wiktor. Byłaś dziwnie ożywiona w jego obecności. On też sprawiał wrażenie, że nie jesteś mu tak zupełnie obojętna...

Mirka spostrzegła, że Ulka zacerzowała się lekko, a potem gwałtownie zmieniła temat rozmowy, mówiąc o postępiach w nauce Januszka.

— Mam cię — pomyślała — po prostu zgrzywasz się przede mną. A właściwie po co? Czyżby ten rok, w którym nie widzieliśmy się, tak ją zmienił?

...

Po kilku dniach, gdy sama szła po południu ulicami Ustki, ktoś ją ujął pod ramię. To był Wiktor, ten sam, którego niedawno poznała u Ulki.

— O, co za miłe spotkanie — zawołał. — Wpadłem służbowo do portu, jadę wozem i nagle mignęła mi pani sylwetka.

— Poznał mnie pan w tłumie?

— A bo to trudno? Pani jest bardzo podobna do Ulki. Wracaj już pani do Słupska? Chętnie panią podwieżę.

— Właściwie jeszcze miałam ochotę wpaść na godzinę na plażę.

— Wie pani co? Ja mam lepszą propozycję. Pojedziemy do Słupska, zaprowadzę panią do karczmy Pod Kluką. Była pani?

— Jeszcze nie. Ulka obiecała mi tam zaprowadzić. To może razem się wybierzemy? Wiele o tej restauracji słyszałam dobrego.

— Wcale się nie dźwię. To najlepsza w Polsce.

— Przesadza pan.

— Nie, o, teraz to już nie ma mowy. Wracamy do mego samochodu. Muszę panią do karczmy pokazać.

— Ale ja wcale nie jestem głodna...

— Nie nie szkodzi. Tam można pójść nawet po obiedzie, i też będzie wszystko smaczniejsze.

Mirka uległa. Wsiadła do wozu...

(Dcn.)